

HALINA AUDERSKA

DOPÓKI ŻYJEMY

OSOBY:

EWA
JERZY
DOROTKA
STARUSZKA, jej babka
PROFESOR
AGATA GRABOWA
GWAREK, żołnierz
MIRA
SZEWC
MĘZCZYŻNA Z TRANSPORTU
KOBIETA Z TRANSPORTU
KOBIETA Z HOŻEJ
KOBIETA GŁUCHA
KOBIETA I
KOBIETA II
KOBIETA III
SANITARIUSZKA
KUPCOWA
HOLENDER
BELG
CZECH
FRANCUZKA
STURMFÜHRER WORTMAN
UNTERSTURMFÜHRER NADLER
KREIS
WABE, wartownik
ŻOŁNIERZ HITLEROWSKI

Przed odsłonięciem kurtyny na scenie jest zupełnie ciemno. Po chwili na jedną z kulis pada jaskrawe światło reflektora. W jego kręgu staje się widoczna hitlerowska flaga ze swastyką. W tejże chwili na proscenium wbiega postać kobieca. To Grabowa, zwana Ciotką Agatą. Zbliża się do świetlnego kręgu i wyciąga rękę: zrywa flagę a na jej miejscu zawiesza biało-czerwoną chorągiew. Znika za zasłoną. Światło gaśnie. Kurtyna idzie w górę.

AKT I

Piwniczna sień, w głębi schodki prowadzące na górę, z piwnicy na podwórze. Po lewej stronie dwa korytarze piwniczne połączone siecią podziemnych przejść z ulicami Kruczą i Mokotowską. Z prawej wybite w murze przejście na Hożą, Wspólną, Żurawią. Na murach strzałki z napisami: Krucza, Mokotowska, Hoża. Dwie świece słabo oświetlają sionkę i korytarze. W jednym z nich widać drzwi piwnic oznaczone numerami 1, 2, 3. W głębi, tuż przy schodach, ciemna komórka oświetlona tylko przez żarzący się piecyk żelazny. Przy ogniu Kobieta z Hożej kołysze do snu niemowlę. Przy wejściu, tuż przy schodach czuwa Grabowa.

Po schodkach schodzi powoli, dotykając ręką ściany Sanitariuszka z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu.

SANITARIUSZKA Przejście na Kruczą?
GRABOWA Tędy.

(Sanitariuszka idzie parę kroków we wskazanym kierunku, słabnie i opiera się o ścianę korytarza)

GRABOWA Ranna?

SANITARIUSZKA Oslabłam tylko. To nie jest świeża rana.

GRABOWA *(przyglądając się jej uważnie)*. Widzę. Pani chyba z tych, cośmy odkopali tydzień temu, kiedy Niemcy wstrzelali się w tunel?

SANITARIUSZKA Tak. *(po chwili)* Ten wasz tunel niewiele wart.

GRABOWA A jest lepszy na Marszałkowskiej? Skok głęboko pod jezdnię, przy wylotach worki z piaskiem. Setki ludzi przechodzi dziennie na tę stronę. *(po pauzie)* Nie tunel winny. Za długo namyślała się panienka przed skokiem.

(Sanitariuszka milcząc odrywa się od ściany i idzie w kierunku Mokotowskiej. Przed wyjściem odwraca się i mówi nie patrząc na Grabową)

SANITARIUSZKA Trzy tygodnie na Starówce, dwa na Kredytowej, dwadzieścia dni na punkcie przy barykadzie...

GRABOWA *(po chwili)* Musiałam się omylić. Bez urazy, sestro! Człowiek tyle wie, ile zje, a ja już zapomniałam co znaczy: żuć. Dajcie sobie opatrzyć ramię w szpitalu na Kruczej.

SANITARIUSZKA Nie zdążę.

GRABOWA *(zatrzymując odchodzącą)* Ej! Zaczekajcie! Czemu dzisiaj tak cicho? Amunicji szkopom zabrakło?

(Sanitariuszka milczy)

GRABOWA *(mniej pewnie)* A może... naszym?

SANITARIUSZKA Gorzej.

GRABOWA Gorzej niż co?

SANITARIUSZKA Nie powiedziałam nic. Nic!

(ucieka)

GRABOWA Nie powiedziała... I bądź tu mądry! A u nas tak dziwnie. Jeszcze wczoraj — to ci huczało! Nie można było znieść gwizdu pocisków, łomotu, trzasku...

KOBIETA Z HOŻEJ Ani zgrzytania tych diabelskich szaf...

GRABOWA A teraz cicho, aż uwierzyć trudno... Tunel jak wymarły... Nawet mały dzisiaj nie płacze.

KOBIETA Z HOŻEJ Nie.

GRABOWA Nie głodny?

KOBIETA Z HOŻEJ Za słaby.

GRABOWA On, my.

KOBIETA Z HOŻEJ Pić mi się chce. Od kiedy siedzimy pod ziemią, nic tylko ten jęczmień z browaru.

GRABOWA Ano... *(po chwili)* Wszystko mi odebrali: syna, dom... Na Woli całe ulice wypalone. Pewnie i moja... Nie ominęło mnie w życiu i to: własnymi oczami patrzeć, jak idzie z dymem miasto, w którym się rodziłam.

(w przejściu z prawej ukazują się dwie półprzytomne kobiety i biegną w stronę tunelu)

GRABOWA *(zagradzając im drogę)* Dokąd?

KOBIETA I Gdzie oczy poniosą.

KOBIETA II Puście!

GRABOWA Nie tędy!

KOBIETA I Tam kołyszą się domy...

KOBIETA II I tylko huk, kurz, ogień...

KOBIETA I Rumowiska...

KOBIETA II Nad głowami gwizdzą samoloty...

KOBIETA I I głód, głód...

KOBIETA II Och!

(pauza)

KOBIETA I *(jakby ze zdziwieniem, przytomniej)* Tu cicho.

GRABOWA Dopiero teraz, dzisiaj.

KOBIETA II Wiecie, co będzie z miastem?

GRABOWA Wiem, co będzie z takimi, jak wy. Zanim pomrą, ze strachu poszaleją.

KOBIETA I Bo straszno... Wszędzie...

KOBIETA II *(krzyczy)* Giniemy! Warszawa ginie!

KOBIETA I Kobiety bezbronne, dzieci... Boże miłosierny! Czyż o tym świat nie wie?

KOBIETA II I nie ma nadziei?

GRABOWA *(gniewnie)* A jak bez niej? No, jak?

KOBIETA I Ratunek? Dla nas? Kiedy?

GRABOWA *(chmurnie)* Jedno wiem: nie strzelają.

KOBIETA II A jeżeli to podstęp? I potem... zabiją?

KOBIETA I Ach! Żeby być już daleko stąd, na polu. Pod gołym niebem. Daleko...

KOBIETA Z HOŻEJ Nikt się nie skarży. Skamlecie tylko wy.

KOBIETA II Bo to nas pędzili przed czołgiem dla osłony.

KOBIETA I Nas! I takeśmy szły z gromadą małych dzieci...

KOBIETA II Pod kule naszych...

KOBIETA I Po trupach...

KOBIETA II Nogi we krwi...

GRABOWA *(po chwili)* Wy — pierwsze?

KOBIETA I Nie mogę już... Nie mogę...

GRABOWA Starczy! Tu nikt nie jęczy. I za komendanta wybraliśmy sobie takiego, co uciekł ranny ze szpitala. Uciekł, zrozumiano? Żeby ratować ludzi, domy... A wy? Najgorzej czekać na śmierć. Chodźcie kopać studnię.

KOBIETA I Wrócić na górę?

KOBIETA II Zabiją!

KOBIETA I Nie chcę! Nie chcę!

GŁOS JERZEGO Kto tam krzyczy?

KOBIETA I Słyszycie?

KOBIETA II Głos... Boję się.

KOBIETA I Uciekać! Uciekać!

(biegną w stronę Mokotowskiej)

GRABOWA Stać! Zaczekajcie!

(Jerzy i Profesor ukazują się w wyłomie od strony Hożej. Jerzy ranny, noga w bandażach)

JERZY Kto tutaj krzyczał?

GRABOWA Kobiety z tamtej strony Jerozolimskich. Z tych, co pędzili przed czołgiem. Chyba rozum im się wtedy pomieszał.

JERZY Trzeba było zatrzymać. Zараżа tym podłym strachem wszystkich.

GRABOWA Ano, nie zatrzymałam. Moja wina, komendancie.

JERZY Wina, że ponuro i ciemno. To ma być Marszałkowska? Nawet napisów na strzałkach nie widać.

GRABOWA Et! I tak nie czytają. Czy się ludziom całkiem w tych mrokach pomarnowały. Pytają o wszystko.

JERZY Mamy w piwnicy kilka świec. Niech pan weźmie, zaraz będzie jaśniej. Ludzie przy studni?

GRABOWA Od samego rana.

JERZY *(do Profesora)* Radzę skorzystać z ciszy i przespać się trochę.

PROFESOR Jeżeli będę mógł. Te przekłete bąble...

JERZY Prawda. Zaraz tu ojca opatrzą. *(idzie do drzwi piwnicy oznaczonych numerem trzy. Zagląda do wnętrza)* Nie widziała pani mojej żony?

GRABOWA Na noc nie wróciła ze szpitala.

JERZY I nie dawała znać?

GRABOWA Nie. Mówią, że rannych coraz więcej.

PROFESOR *(z gorączką)* I pewnie coraz młodszych?

JERZY Ojcie!

GRABOWA I po co to zawsze wydziwiać? Niech pan pokaże ręce. Opatrzę.

(bandażuje mu ręce w głębi, przy piecyku)

JERZY *(idąc w stronę Mokotowskiej)* Jeżeli przyjdzie, niech pani powie, że pytałem o nią.

GRABOWA Znów poszedł. A już myślałam, że się dowiem dlaczego nie strzelają?

PROFESOR Tylko tyle? Nie widzi pani Agata co się dzieje? W piwnicy człowiek wie o świecie mniej niż kret, a znów nad ziemią, tam gdzie byliśmy teraz z synem, same płomienie. Nic, tylko ogień i dym. Dym i ogień! I pani chce wiedzieć? Nikt nic nie wie. Dzieci idą na pewną śmierć...

GRABOWA Lepiej by pan profesor siedział w swoim kącie i tam przeklinał. Po co to wychodzić z piwnicy, kiedy się tak myśli?

PROFESOR Po co? Żeby nie pamiętać... Żeby zapomnieć, że jeszcze tydzień temu — tak, dziś tydzień — widziałem ją. Tutaj.

GRABOWA (surowo) Pana córka miała piękną śmierć. Bohaterską.

PROFESOR Śmierć... Przed nią było piękne życie!

(Grabowa w milczeniu kończy opatrunek)

PROFESOR Dziękuję.

GRABOWA Miał się pan przespać.

PROFESOR Oddałbym dwie przespane noce za łyk wody. Pójdę zobaczyć, co z tą studnią. *(idzie po schodach na górę)*

(Jerzy wychodzi z przejścia na Mokotowską i wpada na wracającą z Krukiej Sanitariuszkę. Dziewczyna eskortuje rannego Nadlera)

JERZY Siostra Julia! Cała? Zdrowa?

SANITARIUSZKA Dziwi się pan, że jeszcze żyję?

JERZY Cieszę się. Co pani robi tutaj?

SANITARIUSZKA Idę na punkt. Przy barykadzie.

JERZY Której?

SANITARIUSZKA U wylotu Lwowskiej.

JERZY Na pierwszą linię? Po co?

SANITARIUSZKA Prowadzę ze szpitala rannego Niemca.

GRABOWA Kogo?

(chwila ciszy. Kobieta z Hożej i Grabowa zaczynają się wolno przybliżać, upatrzone w jeńca, który zasłania się ramieniem jak przed ciosem)

JERZY *(odsuwając kobiety zbliża się do Niemca)* Ja tego człowieka znam.

SANITARIUSZKA Wraca do swoich.

JERZY Wymiana jeńców?

SANITARIUSZKA Nie wiem. Nikt nic nie wie.

JERZY Leżał na mojej sali. Podejrzany o to, że hitlerowiec. Oficer SS.

NADLER Nein! Um Gottes willen! Kamerad... Pan słyszał, co ja wtedy mówiłem. Pan wie...

JERZY *(pogardliwie)* Wiem. Teraz każdy z was prosty szeregowiec, antyfaszysta...

NADLER Aber ich schwöre! Ich binn soldat! Wehrmacht... Ja nienawidzę hitlerowców jak pan, jak wy... Musiałem się bić. Rozkaz. Ale ja..

JERZY *(przerzuwając)* Tam, w szpitalu, powtarzaliście wszyscy w kółko to samo: "unschuldig". Kazali wam. Ci z partii.

NADLER Oni, führer... Ale teraz jestem tu, widzę...

GRABOWA Co?

NADLER To... piękło. I już nigdy! Nie wieder! Na żaden ich rozkaz. Teraz wiem: zbrodniarze, mordercy...

JERZY Powiesz im to?

NADLER Jeżeli pan mi da tę szansę...

JERZY *(wzruszając ramionami)* Och!

NADLER *(żebrząc)* Jeżeli mnie pan teraz nie zgubi. Ja nie oficer. Ja żołnierz. Zwykły żołnierz!

JERZY Przestań.

NADLER Kamerad...

JERZY Dałbym wiele, żeby takiego jak ty, żeby ciebie zobaczyć jutro tam, wśród twoich.

NADLER Pówiem. Co myślę, co czuję. Wszystko.

JERZY No to już. Możesz iść.

NADLER O...

JERZY Do zobaczenia, siostró. Proszę się strzec w drodze gołębiarzy.

SANITARIUSZKA Tak jest! Serwus! Idziemy!

NADLER (odwracając się, bardzo ciepło) Kamerad...

(idą po schodach na górę)

JERZY (do Grabowej stojącej w głębi) Ciotko Agato!

GRABOWA Jestem!

JERZY Będę teraz cały czas na górze. Przy kopaczach.

GRABOWA Dobra jest!

(drzwi jednej z piwnic otwierają się, staje w nich Kupcowa: jest mała, zwinna, bardzo nieporządnie ubrana, zgrywająca się na „zupełną nędzę“)

KUPCOWA Słyszałam głos komendanta. Dokąd poszedł?

GRABOWA (zła) Na barykady! Paniusia nie idzie?

KUPCOWA Znalazła sobie pani czas na żarty! Wszędzie pożary, palą się sąsiednie domy, tylko ciotka Agata...

GRABOWA A ja dla pani odkąd — ciotka?

KUPCOWA Jakto? Cały dom, wszyscy...

GRABOWA To co? Odkąd tu przyszedłam, sama sobie krewnych dobieram. O, komendant. Gasił ogień aż do świtu. Teraz pazurami wydiera wodę z ziemi. A pani kupcowa?

KUPCOWA Ja? Tu warowałam. Ktoś musi pilnować naszych piwnic! Cała Warszawa tędy lata. Was to nie obchodzi, boście tu przyszli z niczym. Ale ja z tego domu. Widział to kto: z korytarzy robić ulice? Kretowisko z miasta?

GRABOWA (chmurnie) Nie pani rzecz...

KUPCOWA Pewnie! Za to pani odpowie.

GRABOWA Ja? Za to odpowiem, co i pani: za nic. Mądrzejsi od nas myślą.

KUPCOWA Kto? Gdzie?

GRABOWA Nie wiem. Tego właśnie nie wiem... Siedzi tu człowiek, jak ślepy. Ale od dawna mam już chęć powiedzieć: nie pani rzecz — Warszawa.

KUPCOWA A czyja?

GRABOWA (agresywnie) Handlowało się z Niemcami? Z Volksdeutscheami?

KUPCOWA (odstępując) Ja...

GRABOWA Żył się niezgorzej w okupację?

KUPCOWA Każdy musi żyć.

GRABOWA Ale, każdy! Nasz komendant wielki, sławny aktor, a nie grał, co tam, nie był w teatrze przez całych pięć lat. Profesor pięć lat nie mógł uczyć dzieciaków historii w szkole. (patrzy na Kobię z Hożej) Jej chłopak nigdy nie bawił się jak dziecko. Nic, tylko drewniany rozpylacz w rączkach i zabawa w łapankę, w zakładników, w wieszanie. I tak umarł nie wiedzący, że można się bawić inaczej...

KUPCOWA Niech pani posłucha...

GRABOWA (przerывая) Teraz ja mówię! Ja, co i w fabryce i w domu to bym się tylko śmiała i gadała szczerze wszystko, co myślę. A przez pięć lat przechowywałam u siebie, na Woli, pół Warszawy. Różnych... Nie do śmiechu mi wtedy było. I zawsze kłamstwo na ustach... Pięć lat! Jakbyśmy nie żyli przez ten cały czas. Jakby nas, prawdziwych, wcale nie było. I nic w człowieku nie rosło, tylko bunt, tylko nienawiść. Dopiero wtedy, w sierpniu, każdy pomyślał: może to nareszcie... wolność? Dlatego to nasza sprawa, nie pani.

KUPCOWA Ja przecież...

GRABOWA (twardo) Jeszcze słowo, a otworzę paniusi piwnicę i wpuszczę tam wszystkich pogorzalców z Hożej...

KUPCOWA (cofając się) Och!

GRABOWA ...żeby sobie obejrzeni te srebra, futra, dywany...

KUPCOWA Nie... nie...

GRABOWA I to ma być kupcowa warszawska? Piwniczny typ! Szczur okrętowy! Kapitulanca!

(Kupcowa w panice ucieka przed nacierającą Grabową)

KOBIETA Z HOŻEJ Przygadyła jej pani.
GRABOWA No! Aż mi ulżyło!

(w tej chwili od strony Kruczej nadchodzi Ewa)

GRABOWA Pani Ewa! To i dobrze. Mąż bardzo niespokojny.

EWA Jest tutaj?

GRABOWA Był. Ale znów go poniosło na górę.

(Ewa milcząc idzie w stronę piecyka i osuwa się ciężko na skrzynię stojącą w przejściu)

GRABOWA *(niespokojnie)* Uraziłam?

EWA Nie.

GRABOWA *(zbliżając się, gorąco)* Nie powinnam przygadywać. Pewnie! On wie najlepiej, co i jak. Wiadomo, komendant. Ale powiem pani coś, to się pani roześmieje: boję się o niego, ot co! I wstyd i prawda. Ile razy pójdzie i przepadnie, miejsca sobie znaleźć nie mogę. Nie chce się myśleć, co by z nami było, żeby kiedyś nie wrócił.

EWA Stało się coś?

GRABOWA Gorsze niż to, co jest? Nie. Tylko dziś, sama nie wiem dlaczego, pomyślałam sobie: dwa tygodnie jak przyszedł tutaj, a już trudno zrozumieć, jak można było wytrzymać tyle czasu bez niego? Jakby miał moc odpędzania i strachu, i zła... Wyciąga z człowieka, co w nim jest najlepsze. Choćby głęboko siedziało, na siłę wyciąga...

KOBIETA III *(idąca z Mokotowskiej na Żurawią)* W stronę Żurawiej?

GRABOWA Tędy. I na prawo.

(Ewa milczy z zamkniętymi oczami, z głową opartą o ścianę)

GRABOWA Zmęczona pani?

EWA O, tak *(po chwili)* Jak tu cicho! Nikt nie woła...

GRABOWA Wcale pani o siebie nie dba. To już chyba trzeci nocny dyżur.

EWA Czwarty.

GRABOWA Tyle rannych?

EWA Ciągłe za dużo.

GRABOWA Profesor mówi, że coraz młodszych

EWA Wczoraj przynieśli całkiem małego chłopaczka. Urwało mu nogę, kiedy cisnął benzynówkę na czołg. Dostał się do nas za późno i już nie można było nic zrobić. Tylko o jedno prosił: „Niech pani nie mówi mamie. Będzie zła, że od niej uciekłem“.

GRABOWA Umarł?

EWA Dziś rano. Nikogo nie poznawał. Mówił do mnie: „Mamusi, nie gniewaj się. Mamusiu, pić...“

KOBIETA Z HOŻEJ Moje nie umie jeszcze mówić...

JERZY *(zbiegając po schodach w dół)* Ewa! Nareszcie!

EWA Jerzy! Jaki wychudzony! Szczerniały!

JERZY To nic, nic...

EWA Kochany! Znów nie spałeś?

JERZY Och, nie umiałbym już chyba zasnąć!

EWA *(przyglądając mu się uważnie)* Rozcięty policzek. Opalone włosy, brwi, rzęsy...

JERZY To chyba wczoraj. Nie można było inaczej. Żelazny balkon na trzecim piętrze, w rogu oszalała ze strachu matka z trojgiem dzieci, za nimi ściana ognia. I jakaś dziewczyna idąca w górę po drabinie opartej o tę ognistą ścianę. Widzisz to? Musiałem pomóc.

EWA Tak. Choć nie mogę myśleć o tym, że jesteś w niebezpieczeństwie ciągle, każdej chwili...

JERZY A ty?

EWA Och, ja! To nie o mnie mówi twój ojciec, że są ludzie, których należy oszczędzać, chronić...

JERZY To co mówisz jest zawstydzające.

KUPCOWA (*wraca obładowana*) W mieszkaniu byłam, u siebie. Jeszcze całe, ale lepiej znieść, co się da. Bezpieczniej. Może i pani doktor...

JERZY Chodźmy stąd.

EWA Przyszedłam tylko po to, żeby ciebie zobaczyć. Powinłam niedługo wracać.

JERZY (*drwiąco*) Do kogo? Oni są tak samo chorzy i ranni jak ja. A nie tak niezwykli, nie tak zasługujący na opiekę...

EWA Jerzy!

JERZY Jesteś pobita własną bronią.

EWA (*z westchnieniem*) To prawda.

JERZY (*przyciągając ją do siebie*) Ach, ty, ty! Nawet nie wiesz...

EWA Kochany mój... Najdroższy... Żywy...

JERZY Nie trzeba o tym ciągle myśleć. Ocalejesz i ty, i ja, i oni... Wszystko będzie dobrze. Twojego szpitala nie omijają pociski, a zawsze liczę na to, że przyjdiesz, że dotknę twoich pleców, włosów, rąk...

EWA Tak. Och, Jerzy... Co ci jest? Chwiejesz się!

JERZY Nic. Po prostu muszę być potwornie zmęczony.

EWA Kochany, zostanę, jeżeli usiądziesz na chwilę, odpoczniesz. Zmienię ci opatrunek. Chodź.

(*wchodzą do piwnicy Nr 3. Od strony Wspólnej wbiega Kobieta i kieruje się ku schodkom*)

GRABOWA Ostrożnie przy wyjściu. Pall się.

(*Kobieta nie słyszy i nie odpowiada*)

GRABOWA (*zatrzymując ją*) Musi pani tam iść?

KOBIETA GŁUCHA (*krzyczy*) Nic nie słyszę! Ogłuszyło mnie wczoraj. Idę na Wilczą po dzieci. (*Grabowa odsuwa się w milczeniu, Kobieta biegnie w stronę tunelu*)

KOBIETA Z HOŻEJ Jednego człowiekowi nikt nie odbierze: kochania. A już najpotrzebniejsze ono, kiedy źle i straszno. Oł, ta kruszyna. Przygarnie się do mnie mocniej i od razu czuję, że żyję. Że to jeszcze ciągle ziemia...

GRABOWA Choć strach, jak do piekła podobna.

GŁOS Z GÓRY Transport idzie!

GRABOWA Transport! (*krzyczy*) Nie ma przejścia!

(*po schodach zaczynają schodzić ludzie z workami jęczmienia na plecach. Dwóch mężczyzn, kilka kobiet. Idą zgarbieni, strudzeni, w pełnym milczeniu*)

KUPCOWA (*która usłysawszy krzyk zjawila się natychmiast na progu swojej piwnicy*) Może to... pszenica?

KOBIETA Z TRANSPORTU Zachciało się marcepanów.

GRABOWA Co mówią tam, na górze?

KOBIETA Z TRANSPORTU (*obojętnie, przechodząc*) Nie wiem. Całą noc tylkośmy szli i szli...

(*nie zatrzymując się przechodzą w milczeniu. Idą na Kruczą*)

OSTATNI MEŻCZYŻNA (*przystając*) Którędy na Hożą 27?

GRABOWA Przez tę dziurę w murze i prosto korytarzem. A niech pan uważa przy wyjściu. Górą pożary.

MEŻCZYŻNA Z TRANSPORTU Widziałem. Chyba przejdę?

GRABOWA Nie włem.

MEŻCZYŻNA Z TRANSPORTU Co tam. Muszę przejść! (*odchodzi*)

KUPCOWA (*zrozpaczona*) Na pewno zmarnuje! A ja mam młynek. Byłaby kasza.

GRABOWA Znajdzie się młynek i na Hożej. A o gęby do wypływania tego paskudztwa niech się już pani nie martwi! Muszą być głodne, kiedy dzwigał taki wór tylko po to, aby dostać piątą część.

KUPCOWA Gdzie indziej dają jedną czwartą.

GRABOWA I słusznie. Powiem coś, to się pani roześmieje: dałaby pani dziecku czwartą część wczorajszej kaszy.

KUPCOWA Kaszy-plujki? To ma być dobre dla niemowlęcia?

KOBIETA Z HOŻEJ A głód co? Lepszy?

KUPCOWA (*grzebiąc na progu w zapasach*) Mnie to pani nie żal.

GRABOWA (*twardo*) Nie.

KUPCOWA (*plączliwie*) A przecież i ja nie wiem, gdzie mój mąż, choć to jego obowiązek być teraz przy mnie. W takiej chwili człowiek sam, całkiem sam...

GRABOWA Człowiek... (*biorąc od niej garść jęczmienia*) Niech pani idzie gdzie indziej jęczeć. Tu ulica. Musi być spokojnie.

GŁOS PROFESORA Ludzie do kopania studni!

GRABOWA (*krzyczy*) Nie ma!

PROFESOR (*schodząc kilka schodków w dół*) Nikogo?

GRABOWA Wszyscy kopią od świtu. Tu tylko chora kobieta z dzieckiem, ja i komendant.

KUPCOWA Żona wróciła niedawno...

GRABOWA (*ostro*) Jak?

(*Kupcowa jak szczur do nory chowa się w jednym z mrocznych korytarzy po lewej stronie*)

PROFESOR Bardzo zmęczona?

GRABOWA Nie spała cztery noce. A prawda, jest jeszcze ten żołnierz...

PROFESOR Niemiecki.

GRABOWA Ale! Nasz chłop. Komendant gadał z nim kiedyś. (*uchyla drzwi do piwnicy nr 3*) Zabrakło ludzi do kopania.

GŁOS JERZEGO A co się stało z tymi, co tam byli?

PROFESOR Tu, obok nas, dopala się parter. Poszli zabezpieczyć przejście na Kruczą.

JERZY (*staje w drzwiach. W ręku koniec nawijanego na nogę bandaża*) Do diabła z taką robotą! Tak nigdy nie będziemy mieli wody.

GRABOWA (*drwiąco*) Pewnie. Postaramy się już nie palić, komendancie!

JERZY Dobrze. Żadnej paniki! Zaraz tam idę.

GRABOWA Niech pan pozwoli i mnie...

JERZY Pani zostanie tutaj.

GRABOWA A po co? Byle baba...

JERZY (*przerwywając*) Ciotko Agato! Muszę być pewien tego, że tu jest ład. Niech pani kieruje ludzi na Mokotowską. Na Kruczej może być niebezpieczniej. Ale nie trzeba straszyć!

GRABOWA No! Mnie tego nie trzeba mówić.

EWA Daj bandaż... Skończę.

JERZY Na górze! Teraz nie mam czasu. Chodźmy!

GRABOWA Może by wziąć tego... Ślązaka?

PROFESOR Wie pani o nim to tylko, co on sam mówi o sobie.

GRABOWA Że wyskoczył z rozbitego czołgu? No to co? A schował się do bramy, bo jaki miał mus wojować przeciwko swoim? Zasłaniać się dzieciakami? Tfu!

JERZY Dawać go tutaj.

GRABOWA (*otwierając drzwi jednej z piwnic*) Komendant woła.

(*w drzwiach staje w zniszczonym, brudnym mundurze szeregowiec Gwarek. Ręce opuszczone wzdłuż boków. Milczy*)

JERZY Wkoło pożary. Jeszcze godzina, dwie — byłaby w studni woda. Dla rannych, dla was...

GWAREK Och! Ja będę kopać i tak. Nie dlatego, że dla mnie.

JERZY Nazywacie się Gwarek?

GWAREK Ano...

JERZY Gwarek... (*po chwili*) Łopatę dostaniecie na górze. Idziemy!

(*z przejścia na Hożą wychodzi Mężczyzna z transportu. Za nim skrada się Mira*)

MEŻCZYŻNA Z TRANSPORTU Jakoś donosiłem ten wór. Którędy poszedł transport?

GRABOWA Na Kruczą. (*zatrzymując go*) Pójdzie pan sobie dłuższą drogą, tędy.

MEŻCZYŻNA Z TRANSPORTU Co się stało? Może przejście... zagrożone?

GRABOWA Czego, czego? Przejście w porządku, na sto dwa! Tylko komendant kazał wszystkim więcej spacerować. Mówi: „Ruchu za mało“. No, to i jest objazd. Trzymaj się pan mocno powietrza. Chodu!

MEŻCZYŻNA Z TRANSPORTU A niech tam! Nie spieszy mi się do śmierci. GRABOWA (do Miry) A pani dokąd?

MIRA Nie wiem... Nie wiem...

GRABOWA Jak nie ma musu, to po co te spacery? Lepiej od razu zawrócić.

MIRA Nie, nie... Tam... zasypało ludzi.

GRABOWA To co? Przecie nie panią.

MIRA Ludzi, z którymi ja... Sama widziałam... Ziemia nad nimi jeszcze się rusza...

KOBIETA Z HOŻEJ Ja nie chcę o tym wiedzieć!

GRABOWA Idź pani swoją drogą.

(Mira idzie w stronę Mokotowskiej, wraca)

MIRA Proszę... Niech pani pozwoli... zostać... Nie powiem już nic. Będę siedziała cicho, cichutko. Byle przy kimś żywym. Jak mnie zamurowali w alko-

wie, przez dwa lata nikt nie wiedział, że żyję, że oddycham.

GRABOWA To właśnie tych ludzi, co panią zamurowali, już nie ma?

MIRA Ich nie ma... A ja jestem. Jak to się mogło stać? Jestem ja, której miało nie być, a oni, tacy pewni, że żyć będą długo...

GRABOWA Dosyć! Myślenie było dobre tam, w alkowiu. Teraz pójdzie pani na podwórko. Robota jest przy studni. No! Nie mrużyć oczu, uśmiechnąć się... Szerzej, o tak! Powiem coś, to się pani roześmieje: ciotka Agata wyprowadzi panią na boży świat. Panie komendancie!

GŁOS JERZEGO Co tam znowu?

GRABOWA Jest świeża para rąk! A kop panna z sercem: za siebie i za mnie. Żebym się później nie musiała wstydzić partackiej roboty.

MIRA Och! Pani jest...

GRABOWA (szorstko) Ano, jestem. Ale za to panusi już tu nie ma. Jazda. O, tak! Biegiem bieg! (po pauzie) Jednych tylko nie widać: od wczoraj nie przeszedł tędy ani jeden chłopak z rozpylaczem.

KOBIETA Z HOŻEJ Za to nie strzelają.

GRABOWA A niechby znów strzelali! Niechby! Przynajmniej było wiadomo: biją się. Żyjemy!

KOBIETA Z HOŻEJ A mój zakopany na podwórku... A Helenka i Broneczek na chodniku, koło drzewka... Nic, tylko mogiły. Takie było to nasze życie...

STARUSZKA (wchodząc od strony Hożej) Mówili, że tu jest studnia.

GRABOWA Ale! Dopiero będzie.

STARUSZKA Znowu nic...

DOROTKA Pić! Babciu...

STARUSZKA Słyszysz, że wody nie ma. Postaw wiadro. Trochę odpocznę.

GRABOWA Byle nie w przejściu. Niech pani usiądzie tutaj. Nie mógł to przyjść ktoś młodszy?

STARUSZKA (bardzo pogodnie) Przecież jest: Dorotka.

GRABOWA To ktoś starszy.

STARUSZKA Starszego wnuka nie ma.

GRABOWA Pani tu całkiem sama?

STARUSZKA Samiutka, chwala Bogu.

GRABOWA A rzeczywiście, jest powód do radości!

STARUSZKA Pewnie, że jest. Pani chyba nie ma dzieci? Ja mam córkę taką dobrą, serdeczną. Żeby tu była ze mną, już by nie żyła: za odważna. Powiem, bo już teraz wszystko można powiedzieć: kiedy wywozili dzieci z Zamojszczyzny do Reichu, tu, na dworcu, podczoigała się pod wagony i wykradła z transportu jedno. Właśnie tę Dorotkę. Jeszcze mała, nie rozumie, jakie ją spotkało szczęście, ale przywiązała się do nas. Owszem.

GRABOWA Córkę pani ma, że ho, ho!

STARUSZKA Chyba ocaleje, prawda? Ot, teraz: pali się dookółka, a ona siedzi sobie w domu na Saskiej Kępie, patrzy przez Wisłę, na dymy, myśli o nas i najwyżej płacze... Dzień i noc dziękuję Bogu, że jestem sama...

JERZY *(zbiegając po schodkach w dół)* Kopaczom potrzebny sznur. Długi, mocny.

GRABOWA Zaraz poszukam.

JERZY Co to za dziecko?

GRABOWA Uratowana w zamojskiego transportu.

STARUSZKA Moja córka zawsze mówiła: dla Warszawy. Wtedy jeszcze nie myślała, że może być tak, jak jest... I że Warszawa... *(pauza)* Ale ja gadam, a to pewnie pana miejsce? My tylko na chwilę, zaraz pójdziemy dalej. Na Wilczą, do znajomków.

GRABOWA *(szorstko)* Nigdzie pani nie pójdzie. Tam wszędzie pożary.

DOROTKA Ja nie chcę do ognia!

JERZY Nic ci nie będzie. Ty wydestaniesz się stąd. Rozumiesz? Ile masz lat?

DOROTKA Sześć. I jeść mi się chce.

JERZY Masz kawałek cukru. Mały, ale i ty jesteś malutka. Myślałem, że masz pięć lat.

DOROTKA Śmiesznie pan myślał. Wczoraj też był cukier. I pojutrze.

STARUSZKA Dorotka, nie przekręcaj! Mówi się: przedwczoraj.

DOROTKA *(posłusznie)* I przed — przedwczoraj. Ciągłe cukier.

JERZY *(pomagając Grabowej rozplątywać sznur)* Kiedy skończy się wojna, zabiorę ciebie na wieś. Będzie tam wszystkiego w bród: mięso, mleko, owoce...

DOROTKA *(zaniepokojona)* A kartofle?

JERZY *(zdziwiony)* Kartofle?

DOROTKA Żeby ich było dużo, strasznie dużo... Gorących.

PROFESOR *(ze szczytu schodów)* Ogień na drugim piętrze!

JERZY Nad nami?

PROFESOR Tak!

JERZY Idę!

PROFESOR Przerzucił się z sąsiedniego domu! Przekłety wiatr!

JERZY *(do Grabowej)* Pani z Ewą do tunelu. Ubezpieczyć przejście. I uważać: górą mogą lecieć palące się belki. Tędy ruch wstrzymany!

(wybiegają na podwórze)

KUPCOWA *(która już od chwili stała na progu swojej piwniczki, zaczyna gwałtownie wypychać rzeczy do plecaka i worków, mrucząc)* Dobrze mówi: ubezpieczyć, ratować.

STARUSZKA Chodź, Dorotka, tu jakoś straszno.

KOBIETA Z HOŻEJ Wszędzie tak samo, tylko ludzie różni...

KUPCOWA *(gdy tylko Staruszka z Dorotką weszły do korytarza prowadzącego na Kruczą)* Niech pani posłucha: trzeba stąd uciekać. Do Niemców, z białą chustką.

KOBIETA Z HOŻEJ Co pani?

KUPCOWA Trzeba koniecznie. Was dwoje i ja. Zabierze pani mój worek, dam dziesięć dolarów.

KOBIETA Z HOŻEJ A kupi pani za to kubek wody? Nigdzie stąd nie pójde.

KUPCOWA Dam nowy płaszcz. Pani ma dziecko. W piwnicy urodzone, nie widziało jeszcze światła.

KOBIETA Z HOŻEJ Jak ja żyję, to i ono przetrzyma.

KUPCOWA Dam płaszcz i buty.

KOBIETA Z HOŻEJ Tutejsza jestem, z Hożej. Cudzych kątów wycierać nie będę.

KUPCOWA Cały ten dom pójdzie z dymem. Aż do piwnic.

KOBIETA Z HOŻEJ Kiedy zapaliła się moja chałupa, znalazła się ta. Spali się ta, znajdują się inne.

KUPCOWA Niech pani posłucha: zamiast płaszcza — futro.

KOBIETA Z HOŻEJ Tyle czasu człowiek się namęczył. W Warszawie urodził. Nigdzie, tylko tu.

(po schodach zbiega Grabowa, nie może złapać tchu, szepcze)

GRABOWA Niemcy na Marszałkowskiej!

(chwila ciszy)

KOBIETA Z HOŻEJ Gdzie?

GRABOWA Po tamtej stronie ulicy. Stoją i nie strzelają. Nie strzelają, psu-braty!

KUPCOWA Może... jeńcy?

GRABOWA Ale! Jeszcze jak uzbrojeni! Żeby to ja miała ich rozpylacze! Ich granaty. Odechciało by się gapić!

KUPCOWA Na co?

EWA (schodząc po schodkach) Palimy się. Stoją w bramie naprzeciwko i pa-trzą.

KUPCOWA Jak my się palimy? My? (wpada do piwnicy, zarzuca na ramiona plecak, wyciąga wypchane worki) Bierze pani worek?

KOBIETA Z HOŻEJ Nie.

KUPCOWA Będą znów strzelać. Na pewno! Albo wejdą do piwnic i wyrzną wszystkich! Jak kto chce! Ja idę. (zatrząskuje drzwi piwnicy i biegnie ku schodom)

KOBIETA Z HOŻEJ Za pazuchą ma białą płachtę.

GRABOWA (dopada jednym susem Kupcowej i chwytą ją za ramię) Stać!

KUPCOWA Czego pani?... Czego?

GRABOWA (wyciągając białą szmatę) Ty, tchórzu! Z tym do nich? Od nas? A wiesz na co oni tak patrzą? Chorągiew wisi na naszej bramie. Biało-czerwona. Sama ją tam zawiesiłam. Tymi rękami. I nimi podreż zaraz ten twój łań! W drobne kawałki podreż! (próbuję rozedrzeć płótno, które się nie pod-daje) Płótno. Nowe. (rzucając Kobiecie z Hożej) Przyda się na pieluchy. Niech od małości uczą się srać na taką chorągiew!

(korzystając z chwili nieuwagi Grabowej Kupcowa znika w przejściu na Kruczą)

EWA Uciekła.

GRABOWA A niech idzie! Niech da nam żyć!

(z góry zbiegają Jerzy, Profesor, Gwarek i Mira)

JERZY Nikogo nie puszczać do tunelu. Zostajemy na razie tutaj. Może uda się ojcu dowiedzieć, dlaczego nasi nie strzelają?

(Profesor idzie w stronę Mokotowskiej)

EWA Tamci jeszcze stoją?

JERZY Tak.

GŁOS Boże święty...

JERZY Tylko spokojnie. I cicho. Zupełnie cicho. To może potrwać dłużej...

(ludzie siadają na skrzyniach, na ziemi)

GŁOS To znaczy... trzeba umierać?

JERZY Może. Ale nadzieja umrze ostatnia. (po dłuższej chwili, rozglądając się) Tu było dziecko.

KOBIETA Z HOŻEJ Poszła z babką na Wilczą.

JERZY (szepcem) Jednak poszła? Nie trzeba było puszczać.

MIRA Słychać kroki...

JERZY Nie.

(długa cisza. W tej chwili nieoczekiwanie dla wszystkich wał się z hukiem stropy na korytarzu prowadzącym na Kruczą. Ktoś krzyczy: „Aa...” Cisza. Po chwili z wyłomu w murze wypetza chmura białego kurzu. Z niej wyła-niają się w pełnym milczeniu postacie kobiet okrytych pyłem i gruzem, w podartych ubraniach. Nie biegają. Idą powoli, chwiejnie, jak ogtuszone albo senne. Niektóre nikną w wyłomie prowadzącym na Hożą, jedna z nich pada na ziemię blisko wyłomu)

KOBIETA I Och...

JERZY Co to było?

KOBIETA I Strop... się... zawalił.

JERZY Dużo rannych?

KOBIETA I Nie wiem... nic nie wiem...

(cisza. Po chwili w przejściu zjawia się jeszcze jedna postać — widmo. Jest to Kobieta II)

JERZY Są zabici?

KOBIETA II Niedaleko... staruszka. Zostało dziecko...

GŁOS DOROTKI Babciu!

KOBIETA Z HOŻEJ *(nie ruszając się)* Już je tam ktoś przyprowadzi.

MIRA Zawsze ktoś się znajdzie...

(Jerzy zrywa się i biegnie w stronę Kruczej)

EWA *(starając się go zatrzymać)* Dlaczego właśnie ty?

JERZY *(odtrącając ją)* Ktoś, Ewo!

EWA Idę z tobą.

JERZY Nie!

(Ewa usiłuje iść za nim, ale w tej chwili rozlega się drugi huk i odrzuca ją w tył nowy kłęb kurzu. Gdy tylko chmura opada, Ewa wbiega do korytarza)

EWA Jerzy! Jerzy!

GRABOWA Jezu! Byle tylko zdążył... Byle wrócił...

MIRA My teraz... w pułapce?

GRABOWA Tak...

KOBIETA Z HOŻEJ Myślałam: wychowam choć tego chłopca. Zamieszkać przy nim na starość. A ot, starości nie będzie...

KOBIETA I Ani domu... Ani słońca... ani nieba...

KOBIETA II Nie mów, nie mów...

(długa chwila ciszy. Ewa prowadzi staniającego się Jerzego, którego ręki trzyma się kurczowo Dorotka)

GRABOWA Boże wielki! Ogluszony? Ranny?

EWA Tak. Nie ma ani kropli wody?

GRABOWA A skąd?

EWA *(do Jerzego)* Zaraz będzie ci lżej. To nic. Naprawdę nic.

JERZY Jeżeli trzeba... Zostawcie mnie... Idźcie...

EWA Nie myśl tak. Będiesz żył. Nie dam cię, rozumiesz?

JERZY Dziecko...

EWA Kto? *(odwraca się i widzi Dorotkę)* Tak, jest. Stoi przy tobie.

JERZY Dlaczego szepczesz?

EWA Kochany, mówię głośno. Stoi tutaj. Uratowałeś ją. Nawet nie jest ranna.

JERZY Nie powinna zginąć. Może kiedyś potrafi lepiej...

EWA Nie myśl teraz o niej!

PROFESOR *(wracając)* Gdzie komendant?

GRABOWA Ratował dziecko...

PROFESOR Mój biedaku. Mój chłopcze... I ty...

JERZY Dlaczego nie strzelają?

PROFESOR Cierpisz?

JERZY Ojcie! Dlaczego nie strzelają?

PROFESOR Nie wiem, jak to powiedzieć. W to, co tam usłyszałem, uwierzyć trudno...

(ludzie milcząc czekają)

PROFESOR *(po pauzie)* Wczoraj podpisano... kapitulację.

GRABOWA *(gwałtownie)* Nie!

PROFESOR Dlatego jest tak cicho...

GŁOS KOBIECY Boże miłosierny!

PROFESOR Powiedziano mi... *(do otaczającego kręgiem tłumu)* Wszyscy mają wyjść z miasta. Zabrać tylko to, co każdy sam uniesie.

GRABOWA Iść precz? Z Warszawy?

PROFESOR W domu nikt nie może zostać.

KOBIETA Z HOŻEJ A jak się domu nie ma? Tylko mogiły?

PROFESOR Powiedziano — nikt.

(ludzie milczą)

PROFESOR Wyście przez barykady na Nowowiejskiej i w Alejach.

GŁOS Dokąd? (chwilą ciszy)

KOBIETA I To znaczy... znów gestapo?

GŁOS MĘSKI Usta zalepione gipsem?

KOBIETA II Boże!... A ja... tu... mówiłam o sobie prawdę. Wszystko, co myślę..

MIRA (wysuwając się z tłumu) Jakże ja... teraz do nich?

GWAREK A ja? Herr Kommandant? Ja?

(Jerzy i Profesor milczą)

GRABOWA (pa pauzie) Wyjść... kiedy?

PROFESOR Dziś jeszcze. Zaraz.

GRABOWA Jakże to? Zostawić miasto? Całkiem puste?

PROFESOR Od samego początku wiedziałem: nie damy rady. Ale myślę, że my... tu... zrobiliśmy wszystko, cośmy mogli. Cośmy powinni byli zrobić... Walczyliśmy o ten dom, o tę ulicę, kiedy pikowały samoloty, pod najcięższymi pociskami, w dymie, w pożarach, bez broni... Znosiliśmy pragnienie, głód, rany. Byliśmy mężni.

(ludzie milczą)

GRABOWA (zaczepnie z żalem) A teraz już nie będziemy? Ludzie! To nie może być. Przecie my jeszcze żywi! Jeszcze Polska nie zginęła...

(tłum kołysz się wstrząśnięty. Z góry natychmiast rozlega się krzyk)

GŁOS Z GÓRY Milczeć!

GRABOWA (zwrócona twarzą ku górze) A ty kto? Foks?

(odpowiada jej milczenie)

GRABOWA (rzucając się ku schodom) Jezu! Nasza chorągiew!

(biegnie na górę. Tłum czeka na jej powrót w milczeniu. Po długiej chwili rozlega się tupot nóg i Grabowa zbiega na dół ze sztandarem w rękach)

GRABOWA Jest!

(ludzie milczą)

GRABOWA A może by jej nie zerwali? Może lepiej, żeby się spaliła razem z domem?

PROFESOR Nie. Tak dobrze (bierze z rąk Grabowej chorągiew i wpatruje się w nią przez chwilę. Tłum stoi jak urzeczony, w zupełnym milczeniu)

PROFESOR Zakopcie...

KOBIETA I Boże mój! Boże...

(ludzie w milczeniu kopią pośrodku płytki dół. Profesor oddaje chorągiew Grabowej, która wkłada ją do schowka i przysypuje ziemią)

GRABOWA Leż sobie. Czekał.

(ludzie przez chwilę stoją w milczeniu, jak nad mogiłą. Ktoś zdejmuje czapkę. Wszyscy śledzą ruchy Grabowej, która podchodzi do piecyka i zasypuje ogień piaskiem. Piecyk gaśnie. Ludzie pochylają głowy)

GRABOWA (prawie szeptem) Koniec.

KOBIETA I Na zatracenie...

GRABOWA (nagle czujna) Jak? Nie, nie! Jeszcze żyjemy! I musimy iść... Droga nie wiadomo dokąd, zimno. Bierzcie ludzie! (otwiera piwnice i zaczyna wyrzucać ze schowków koce, kurtki, płaszcze) Zabierajcie! Zobaczcie się, co będzie za zakrętem. (do żołnierza) Wy musicie się przebrać, ale już! (do Kobiety z Hożej) A pani ma ausweiss córki. Umarłemu niepotrzebny. Daj go pani tej czarnuszce.

KOBIETA Z HOŻEJ Jakże? To przecie... pamiątka.

GRABOWA (surowo) Dla niej — tyle co życie.

KOBIETA Z HOŻEJ To choć fotografię oderwę. Troje ich zginęło, jakby kto z ziemi zdmuchnął. Niech przynajmniej na tę czasem popatrzę...

GRABOWA Taki dowód gorszy niż żaden.

KOBIETA Z HOŻEJ Jezu! Nawet i to... (do Miry) Czemu nie bierzecie? Bierzcie.

(Mira chwytą dowód)

GRABOWA (do żołnierza) Wy pójdziecie ze mną. Piszcie zaraz po niemiecku jakieś zaświadczenie. Będziecie przy mnie za męża. A mówcie mało, niby przyglupi. Nazwisko — Grab. Piotr. A ja Agata. (na górze wybucha zgiełk)
Co to?

MIRA¹ Idą.

GRABOWA Już?

(wszystkie głowy zwracają się ku schodom. Na ich szczycie staje uzbrojony hitlerowski żołnierz. Przez chwilę oświetla latarką wnętrze, błędząc snopem światła po wynędzniałych twarzach)

ŻOŁNIERZ Alle raus!

(tłum zafalował, ale się nie poruszył)

ŻOŁNIERZ Raus!

(milcząc ludzie idą po schodach na górę. Razem z nimi Mira i Gwarek)

ŻOŁNIERZ Schneller! Schneller!

(Ewa z Profesorem podnoszą Jerzego i prowadzą go ku wyjściu. Grabowa gasi dopalającą się świecę. I wtedy wybucha krzyk Dorotki)

DOROTKA Boję się!

(Żołnierz oświetla ostatnich wychodzących i drobną postać biegnącego dziecka. Milczy. Ewa odwraca się i wyciąga do malej rękę)

EWA Chodź.

(wolno, w milczeniu idą po schodach na górę. Żołnierz oświetla latarką puste korytarze, odwraca się i idzie za nimi. Przez sekundę jest zupełnie ciemno. Wtedy zapada zstona)

AKT II

Odsłona 1

Obóz pracy Wilhelmshagen pod Berlinem. Z prawej strony (w przekroju) wnętrze drewnianego baraku. Z lewej placyk na którym stoi samotna sosna. W głębi druty otaczające teren obozu. Za drutami czerwieni się niebo. Słońce zachodzi. Z lewej strony proscenium na placyk wchodzi ludzie z pierwszego aktu. Wloką się powoli, bardzo zmęczeni, wzdłuż drutów. Wracają z apelowego placu, gdzie co dzień odbywa się rekrutacja do pracy w berlińskich fabrykach i pobliskich folwarkach. W ostatniej grupie, za Ewą, Jerzym, Dorotką, Kobieta z Hożej, Grabową i Gwarkiem idą trzy kobiety: Mira, Kobieta I i Kobieta II. W chwili, gdy są przy sośnie, z prawej, zza baraku wychodzi Kreis prowadząc za sobą Holendra i Belga. Widzi trzy młode kobiety i zatrzymuje okrzykiem: Halt! Ogląda je przez chwilę z dezaprobatą, wskazuje palcem.

KREIS Du! Und du! (rozgląda się, dostrzega pozostałych) Zresztą wszyscy! Pójdziecie ze mną.

WORTMAN (wchodząc na placyk z lewej) Jeszcze tu, Kreis?

KREIS To znaczy, znowu tu, Herr Sturmführer. Za trzecim nawrotem.

WORTMAN (porządkując papiery w kartotece stojącej na stoliku przed barakiem) I jak zawsze ostatni.

KREIS Czekałem na pana.

WORTMAN Nic z tego, już późno! Niech pan przyjdzie jutro.

KREIS Jutro swoją drogą. Ale jeszcze dziś muszę stąd zabrać trochę ludzi. Unbedings!

WORTMAN Z tych? To świeży transport. U nas jeszcze nie notowani w kartotekach. Niech pan poszuka sobie innych, Kreis.

KREIS Gdzie? Jakich? Ci ludzie z Generalgouvernement to całkiem wybrakowany towar. I po co nasze werbunkowe komisje sprowadzają ich tu do robót? Chorzy, inwalidzi, brzuchate kobiety... I to ma iść w pole, do fabryk? Mówię panu, przyjeżdżają chyba tylko po to, żeby się tu odpaść.

WORTMAN Tych z Warszawy już więcej nie będzie. Schluss damit!

KREIS Chwała Bogu! Więcej kłopotu z nimi niż pożytku.

WORTMAN Wojna. Sam pan wie! To wszystko uciekinierzy z przyfrontowego pasa. Trochę pokaleczeni, zmordowani ucieczką...

KREIS Muszą nie lubić pukaniny, kiedy tak wieją. A jak źle, to po ratunek do nas, nicht wahr?

WORTMAN Otóż to, Kreis.

KREIS No, cóż! Trzeba brać, co jest. Dostanę dokumenty Herr Kommandant? Przynajmniej dla czworga. Bez tych paru sztuk nie mogę pokazać się w mojej fabryce.

WORTMAN Z panem niełatwo dojść do ładu. Więc? Kogo pan bierze?

KREIS Holendra, Belga i... niech będą te dwie dziewczyny. Na razie. *(Mira przysuwa się do Grabowej)* Jutro z samego rana przyjdę po resztę. A tymczasem Herr Nadler wciągnie ich na listę i wszystko będzie in ordnung. Nicht wahr?

WORTMAN Powiedzmy. *(do Belga stojącego najbliżej stołu)* Nazwisko?

BELG Duroc.

WORTMAN *(wyjmując z kartoteki jego ausweis i przyglądając się fotografii)* René. Weiter.

KOBIETA II Kowalska.

WORTMAN *(notując)* Weiter.

KOBIETA I Kowalska.

WORTMAN *(odwracając się)* Siostry?

KOBIETA II Tak.

WORTMAN Imię?

KOBIETA I *(wskazując na siebie)* Ja?

KREIS *(przerzuwając badanie)* Ein Moment! *(podchodzi i ogląda starannie, uważnie rękę dziewczyny: jedną, drugą. Potem w milczeniu przygląda się ręką jej siostry. Skończywszy oględziny wypycha brutalnie Kobietę I z szeregu)* Możesz iść. Ciebie nie wezmę.

KOBIETA I Ją tak, a mnie nie? Dlaczego?

KREIS *(obojętnie)* Ręce masz za małe. *(do Komendanta)* Potrzebni do kręcenia ciężkich korb. Nie nada się u nas. Biorę tylko tych troje.

KOBIETA I To siostra... My zawsze razem...

KREIS Nic się nie bój! I ciebie ktoś weźmie. Tyle, że nie ja.

KOBIETA I Nie zostanę tu sama... *(do siostry)* Proś! Proś!

WORTMAN Ruhe! Wracaj na plac. Raus!

(dziewczyna staje w głębi, obok Miry)

WORTMAN *(wypisując dokument)* Also — Kowalska. Imię?

KOBIETA II Anna.

WORTMAN Urodzona w Warszawie?

KOBIETA II Tak.

WORTMAN So. *(do Holendra)* A ty? Nazwisko?

HOLENDER Vandermeer.

WORTMAN *(znajdując dokument w kartotece)* Joseph. Miejsce urodzenia: Haga, Zawód: robotnik. Freiwillig. No, tak. *(podchodzi do jeńców, mówiąc z naciśkiem, znacząco)* Freiwillig! Alle! Verstanden? Mam nadzieję, że będziecie rozsądni. *(do Kreisa, oddając dokumenty)* Po 20 marek od sztuki i 3 marki ekstra za dowody, razem marek 63. Zapłaci pan Stolzowi.

KREIS Przyjdę jutro skoro świt. Gdyby pan pozwolił, żeby ci poczekali tutaj,

- wskoczyliby do kartoteki jeszcze dziś. I mógłbym ich z rana od razu zabrać.
- WORTMAN Nudzi pan, Kreis. Ale niech czekają. Życzę powodzenia w pracy!
- KREIS A ja lepszych transportów, Herr Sturmführer. *(do jeńców)* Wychodzić!
- (z głębi, zza baraku wychodzi Nadler pędząc przed sobą troje ludzi: Czecha, Francuzkę i Szwecza z Warszawy)*
- KREIS O, Herr Nadler! Będzie pan miał przeze mnie trochę pisaniny. Ale niewiele. Heil! *(wychodzi).*
- NADLER Czego chciał?
- WORTMAN Jak zawsze: ludzi. A, to ta trójka. Schön. Więc rozmawiali ze sobą na placu? Pierwszy raz?
- NADLER Nie. Stolz, który ich nakrył, twierdzi, że tydzień temu widział ich pod oknami rosyjskiego baraku.
- WORTMAN Ach tak? *(uchodzi do baraku i zapala światło. Na dworze jest już prawie ciemno. Stojąc w drzwiach mówi do Nadlera)* Niech wejdą. *(do grupy warszawskiej)* Wy zaczekacie tutaj.
- (akcja przenosi się do baraku. Wortman siadając przy biurku, do ludzi, których przyprowadził Nadler)* Więc chodziliście tam? Mimo zakazu? *(Czech i Francuzka ponuro milczą)*
- SZEWEC Z WARSZAWY Ich nicht... Ich nein! Dolmetscher...
- WORTMAN Nie trzeba. Polski język znam nie od dziś. Więc?
- SZEWEC Ja nie! Ja tu dopiero od trzech dni. Nigdzie nie byłem. Nic nie wiem...
- WORTMAN Czech, Francuzka, Polak. I co? Wy jedni nie wiecie, że porozumiewać się można wyłącznie z jeńcami własnej narodowości? Że to nie są kursy nauczania języków obcych?
- SZEWEC Przechodziłem tylko przez plac... Przysięgam... Nie znam ich. Ja...
- WORTMAN A więc, Nadler? Ten człowiek zdaje się chce dowiedzieć, że ty się mylisz?
- SZEWEC *(przeżuty)* Ja? Nie, skąd? Ja tylko...
- WORTMAN Genug! Tu są potrzebni ludzie do pracy, nie buntownicy. Byliście ciekawi, co się dzieje w innych barakach? Sehr gut! *(do Nadlera)* Do jednynki z nimi. Odeśle się ich do Auschwitz.
- SZEWEC Mnie? Za co? Ja przecież nic nie wiem... Ja stary chory człowiek...
- NADLER Znana śpiewka!
- WORTMAN Raus! Czekać przed tamtymi drzwiami.
- (wszyscy wychodzą drzwiami z prawej, szwec ostatni. Wortman zatrzymuje go w chwili, gdy ten jest już w progu)* Zaczekaj! Zostań!
- SZEWEC Ja?
- WORTMAN Więc to jest, Heinz, jeden z twoich warszawskich bandytów?
- NADLER Unsinn! Nie mówiłem o takich.
- WORTMAN Przed chwilą były tu dwie dziewczyny z Warszawy. Upewniam cię, że także zupełnie niegroźne. A ten jest nawet zabawny. Spójrz. Przypomina harmonijkę. Na pewno da się do woli zsuwać i rozciągać. Zawód?
- SZEWEC Szwec.
- WORTMAN Z Warszawy, co? Naturalnie chory, słaby? Serce?
- SZEWEC I serce, i nogi, i ręce...
- WORTMAN A więc, Nadler, mamy przed sobą okaz zupełnie niezdolny do pracy. Szkoda. Właśnie takich odsyłamy do Auschwitz. Zostają tylko ludzie zdrowi, zdolni do roboty. A tu — serce...
- SZEWEC *(prostując się)* Nie takie znów całkiem złe... Jeszcze dużo wytrzymam, jeszcze...
- WORTMAN *(kończąc tym samym tonem)* ... i nogi poniosą. Bo bywają gorsze, nicht wahr? *(do Nadlera)* Widzisz, jak harmonijka się rozciąga? Co powiesz teraz o rękach? Los, słucham.
- SZEWEC *(po chwili)* Ja wiem, to może jest śmieszne... Ale ja nie chcę umierać... Nie zrobiłem nigdy nic złego. Zawsze byłem sam. Nie odpowiadam za nikogo, nikogo nie chcę oszczerzać... Byle tylko żyć... żyć...
- WORTMAN *(ze wstrętem)* A komuż potrzebne to twoje parszywe życie?
- NADLER *(który czuł się nieswojo w czasie tego przestuchania)* Słyszałeś? Raus!

WORTMAN Chwileczkę, Nadler! Transporty do Auschwitz odchodzą tak często, że możemy się nie spieszyć z odesłaniem tego człowieka. Pseudo-człowieka, bo żaden Niemiec nie skamlałby tak w obliczu śmierci. *(Nadler robi krok w kierunku wyjścia)* Zaczekaj, Heinz. I ja mam już dosyć tego płaza. Kończę. *(podchodzi do Szewca i mówi mu wprost w twarz)* Dwa dni zwłoki za każdą Żydówkę wyłowioną z warszawskiego transportu. Cztery za każdego ukrywającego się w tej bandzie zbiegłego więźnia, partyzanta, żołnierza. SZEWC Cztery dni... Sześć... *(po chwili)* Nie, nie, tylko nie to! To straszna pokusa. Wszystko, każda pomoc...

WORTMAN *(policzkując go)* Żebyś pamiętał, że żadna inna pomoc ze strony takich jak ty nie może być nam potrzebna. Za drzwiami! Tam czekać.

(Szewc wychodzi drzwiami z prawej)

WORTMAN *(wycierając dłoń chustką)* Odradzałeś nagromadzenia w jednym miejscu większej liczby tych... z Warszawy. Sądziłem, że rozgrywka będzie ciekawsza.

NADLER *(ponuro)* Nie wszyscy są tacy.

WORTMAN Nie myślisz chyba, że to są lwy i tylko ja tego nie dostrzegam, bo sparszywały w klatkach?

NADLER Jest w tym coś z prawdy.

WORTMAN Unsinn! Wszyscy jednakowi. Dreck, Dreck! Żaden chłop nie chce brać tego szmelcu do robót w polu. Führer miał rację, że zabronił nam poza służbą obcować z nimi. Każde dotknięcie plami...

NADLER *(uparcie)* Podbijałeś kolejno Polskę, Belgię, Francję. Aż do kontuzji zawsze w pierwszej linii, na froncie. Potem od razu przyszedłeś tutaj, do tej podłej odwyszalni...

WORTMAN *(przerwywając, ostro)* I co z tego?

NADLER Nie wiesz, że ci ludzie, tam, na zajętych przez nas terenach, zachowują się wciąż jeszcze tak, jakby byli panami u siebie!

WORTMAN Patrząc zawsze z przyjemnością na mój nowy Schaffhausen, Antimagnetique. Antichoc. Nic z zewnątrz nie zdoła go wytrącić z równowagi, z rytmu, w którym tętni od chwili, kiedy go puszczono w ruch...

NADLER To śmieszne porównanie!

WORTMAN Śmieszniejszy od niego niepokój, który zdradzasz na dźwięk słowa, dziś już pozbawionego treści.

NADLER Jakiego?

WORTMAN *(patrząc mu prosto w oczy)* Warschau.

NADLER Drwisz z rzeczy, których nie rozumiesz!

WORTMAN A mnie się zdaje, że rozumiem je bardzo dobrze. Inna rzecz, że popełniliście tam błąd. Trzeba było albo doszczętnie wytępić, albo unieszkodliwić, rozbroić moralnie... A wy obrabialiście jednakową metodę dla wszystkich: pałki, kuli...

NADLER ...i szubienicy.

WORTMAN Otóż to. Zamiast wieszać tylko jawnych buntowników. Resztę należało doprowadzić do tego, żeby każdy — och, każdy z innego powodu — stał się bezsilny, zależny... Lieber Gott! Ludzie są mali, nędzni. Można było skłócić ich tak, żeby rozszarpali się sami. I wtedy nie mielibyście już tam do czynienia z człowiekiem, tylko z harmonijką podobną do tej, jaką w moich rękach był ten szewc...

NADLER Karl! Nie myślisz, że w podobnych okolicznościach wszyscy ludzie bywają w ten sam sposób... słabi?

WORTMAN Wszyscy? A Herrenvolk, mein Freund? Ja wierzę w siłę i wielkość mego narodu.

NADLER Słuchaj, Karl...

WORTMAN Nein! Te wszystkie wątpliwości powinny być zupełnie obce temu, kto się wychował w naszym potężnym Reichu.

NADLER Wróciliśmy nad Wisłę.

WORTMAN Och! Sam wiesz: chwilowo! Dostaniemy lada dzień nową broń. Straszna! I w ostatecznym wyniku świat — pokonany, czy też wyludniony — będzie należał do nas! Do mnie, bo w to wierzę. Do ciebie, bo nauczyłem cię tak myśleć i pragnąć, bo biłeś się o to jak sam szatan!

NADLER Daj papierosa...

WORTMAN Możesz nie znosić pochwał, ale wiesz równie dobrze, jak ja, co jesteś wart.

NADLER Karl...

WORTMAN Wątpliwości? Posłuchaj mojej rady, Heinz. Kiedy tam wrócisz...

NADLER Chciałem cię właśnie uprzedzić... Ja... Będę się starał zostać tutaj.

WORTMAN Wie? Chyba się przesłyszałem?

NADLER Mówiłeś, że potrzebny ci jest ktoś do pomocy. Dlaczego nie ja? Znamy się od tylu lat. A przy tym moja ręka...

WORTMAN Unsinn! Jesteś tutaj już pięć dni, pojutrze zdejmą ci ostatecznie opatrunek. Zakażenie zlikwidowane. Mówiłem z lekarzem.

NADLER Ach tak? Mówiłeś?

WORTMAN Słuchaj, Heinz. Ja — to co innego. Inwalida... Ale twoja przyszłość nie tu! To śmieszne! Jesteś trochę wytrącony z równowagi, ale już za tydzień zechcesz wrócić. I słusznie. Tylko wtedy — radzę — spróbuj inaczej: sam stwarzaj sytuacje, w których uda się wydobyć z każdego Czecha, z każdego Polaka ukryte zło. Ukrytą słabość... Wierz mi, choć dobrze utajone, te dwie sprężyny ludzkiego działania istnieją zawsze gdzieś, w głębi.

NADLER Aż tak nimi gardzisz?

WORTMAN Ty jeszcze nie? W takim razie spróbuj zabawić się w los. Zastawiaj pułapki, z których wyjście podyktuje im... strach. Wszystko jedno: przed bólem, samotnością, śmiercią...

NADLER Karl!

WORTMAN Nic innego. Rozumiesz? Strach. A przekonasz się sam, że będą śmiesznie podrygiwać w takt piosenki, którą ty im zaśpiewasz. W tył, w przód, w lewo, w prawo. I znowu. I jeszcze raz...

NADLER Gdybyś na moim miejscu był... tam, na tych przeklętych ziemiach, to by cię... bawiło?

WORTMAN To mnie już bawi. Tutaj. A przy tym zwalnia od współczucia dla nich. Bo przecież żaden z tych, którzy się tak płaszcą i wiją nie zasługuje na nazwę człowieka. (dzwoni telefon) Tak, ja. Koniecznie na jutro? Postaram się to załatwić. Heil! (do Nadlera) To ten głupiec Kreis. Zupełnie już przestał myśleć. Ciągłe tylko narzeka na jakąś komisję werbującą do robót. Mitoman.

NADLER O?

WORTMAN (nie zwracając na ten okrzyk uwagi) Przypomina, żeby przygotować dla niego dokumenty tych ludzi, którzy czekają na placu. Trzeba wybrać pomiędzy nimi najzdrowszych. Szukaj wśród tych, którzy trzymają się razem. Łatwiej coś uzyskać, kiedy potem chce się ich rozdzielić. (Nadler staje) Was ist los?

NADLER (zawraca nagle) W warszawskim transporcie zdrowych się nie znajduje. Do diabła z Kreisem!

WORTMAN Jak chcesz. Mogę wybrać sam. (idzie ku drzwiom z lewej, w drzwiach) Ostatnio bywasz stale podniecony, Heinz! Ale mimo wszystko jestem pewien, że niedługo będziemy razem śmiać się z tej twojej rany!

(wychodzi)

NADLER (zostaje sam. Powtarza przez zaciśnięte zęby) Śmiać się...

(dzwoni telefon)

NADLER Wilhelmshagen. Tak. Heil! Nowy transport? Już w drodze? Oszaleńście! W ciągu tygodnia nadeszło dziesięć transportów. Baraki przepełnione! Jak? Do robót i pod gołym niebem? Ziąb. Kto ich potem zechce? Berlin bierze do fabryk tylko po selekcji. Więc? Tak jest przynajmniej rozsądnie. Notuję. Odesłać z powrotem do Generalgouvernement. Pod Kraków. Dobrze. Heil!

(drzwi się otwierają i pierwszy wchodzi Jerzy. Nadler odwraca się od telefonu i nagle robi krok w tył, przerażony)

JERZY (zatrzymując się w drzwiach, zaskoczony) Pan? Tutaj?

NADLER (po chwili milczenia, ostro) Przechodzić. (mocniej) Przechodzić!

(wchodzą: Profesor, Ewa, Grabowa, Gwarek i Mira. Za nimi Wortman)

WORTMAN Tym razem Kreis nie będzie narzekał. Zupełnie niezła szóstka.

NADLER Ten ranny... Z nimi? Po co?

WORTMAN Chcieli być wszyscy razem. Czy tej tam naprawdę zależy na mężu, to się jeszcze okaże. Also? Aus Warschau. Kiedy?

JERZY Przedwczoraj.

WORTMAN Z obozu w Pruszkowie?

JERZY Tak.

WORTMAN (do Nadlera) Wciągniesz ich do kartoteki. Ausweissy?

JERZY Spalone.

WORTMAN Nazwisko?

JERZY Juratowie. Jerzy, Ewa... Dorota.

WORTMAN Zawód?

JERZY Aktor.

WORTMAN O? Offenbach, Strauss...

JERZY Sofokles, Szekspir.

WORTMAN So... (do Ewy) Także aktorka?

EWA Nie. Lekarz chorób dziecięcych.

WORTMAN A? Kocha się dzieci? I męża (do Nadlera) Rozdziel! (Nadler chce wyjść z Jerzym) Dokąd, Heinz? Niech sobie trochę postoi twarzą do ściany. (do Profesora) Ty kto?

PROFESOR Jego ojciec.

WORTMAN Ausweiss? Także nie ma, co? Zawód?

PROFESOR Nauczyciel gimnazjum.

WORTMAN (do Miry) Dlaczego się przysuwasz? Córka?

MIRA Nie...

WORTMAN (do Ewy) Przyjaciółka?

EWA Przyjaciółka.

WORTMAN Ausweiss? Jakoś ten się nie spalił. Prawda? Nie spuszczać oczu. Aksamitne, czarne. Interessant. Sehr interessant! (do Grabowej) Jej matka?

GRABOWA Nie.

WORTMAN Przynajmniej krótko i prawdziwie. (do Gwarka) A ty?

GRABOWA Krótko i prawdziwie: mąż.

WORTMAN Sam nie umie mówić? Niemowa?

GRABOWA Ale! Po niemiecku trajluje, że ho, ho! Jakby się w Berlinie urodził. Nie ciągnij mnie za spódnicę. Jeszcze nie zdążyłam powiedzieć, żeś przygłupi.

WORTMAN Ruhe! Nic się nie bój! Tu go nauczą rozumu... (do Gwarka) Ausweiss? Co to jest? Jakiś świstek!

GRABOWA Przepustka dla mnie i dla męża. Taką dali. Ausweissy — kaput! WORTMAN Kto wystawiał?

GRABOWA Władze. Prawdziwe, nasze. To znaczy — wasze. Pisz tam po niemiecku.

WORTMAN (obracając dokument w rękę) I to ma być dobre?

GRABOWA A bo ja wiem? Może lepsze niż nic?

WORTMAN Grab... (do Gwarka) Imię?

GWAREK Piotr.

WORTMAN Zawód?

GWAREK Robotnik.

WORTMAN Data ślubu z tą jędzą?

(Gwarek milczy)

WORTMAN Schneller!

GWAREK (po chwili) Nie pamiętam...

WORTMAN (do Grabowej) Przygłupi, co? Miał tyle tylko rozumu, że się z tobą ożenił?

GRABOWA Musiał. Przedtem nagrzeszył. To, to on umie. A że nie wie, kiedy brał ślub? Powiem panu coś, to się pan roześmieje: nigdy on nie pamiętał tego, co mu potem na zdrowie wyszło. Jak każdy chłop. A na ten przykład pan generał. Wie, jaki to był dzień, kiedy się urodził? Wtorek? Piątek? Po

oczach widzę, że pan pułkownik nie wie. A to był chyba dzień niezgorszy. I zawsze pan major trochę od mojego mądrzejszy.

WORTMAN Ty, wiedzmo! Tak ciebie uczono odpowiadać? A więc: wszyscy zdolni do pracy i wszyscy podejrzeni. Ten za głupi, ta — za czarna, tamten ranny. *(do Miry)* Kiedy? Opowiedz ty. Podobno wszyscy jesteście z jednego domu.

MIRA Zdaje się... kiedy... szedł... po wodę do... studni...

GRABOWA *(podpowiadając)* Strzelec wyborowy... Z dachu.

WORTMAN Wody już nie było, nicht wahr? A nasi strzelcy wszyscy wyborowi... W głowę i w nogi?

MIRA Nie. W głowę później. Sama widziałam. Zasypało go, kiedy ratował dziecko.

WORTMAN A, córka? Ładna. Blond, oczy jasne. Schau mal, Heinz, zupełnie nordycki typ.

NADLER Co chcesz z nim zrobić?

WORTMAN Przede wszystkim chcę pokazać tobie, jak się zmusza tych pseudo-ludzi do mówienia prawdy. *(do Miry)* Zaopiekujesz się małą.

(popycha Dorotkę ku Mirze)

DOROTKA Nie, nie!

WORTMAN *(lagodnie)* To przyjaciółka mamy. Cłocia. Zawołaj ją.

MIRA *(posłusznie)* Chodź do mnie.

DOROTKA *(szepem)* Boję się.

GRABOWA Czego? Idź.

DOROTKA *(gwałtownie)* Nie! *(biegnie pędem do Grabowej i chowa się w fałdach jej spódnicy)*

WORTMAN *(do Ewy)* Skłamałaś. Dziecko jej nie zna. To obca. Żydówka.

EWA Ona?

WORTMAN Upierasz się. Więc przyjaciółka?

EWA Przyjaciółka.

WORTMAN Kto z was może to potwierdzić? Kto ją zna bliżej? Uprzedzam, że kłamstwo kosztuje tu drogo. Nikt?

GRABOWA Ja. To koleżanki szkolne. Dobrze wiem. Pamiętam, jak obie latały do szkoły, warkocze potąd. *(o Mirze)* Ona — to wykpany portret ojca. Taki sam był czarny. Wasz pastor, ewangelicki. *(do Gwarka)* Nie szturchaj! To co, że powiedziałam: wasz? Ich wiara, ale pastor był nie ichni, tylko nasz, warszawski. I chyba nie powinien był mieć żydowskich dzieci? No, nie?

WORTMAN Schweigen? Przestań pleść!

GRABOWA *(urazona)* Mogę milczeć.

WORTMAN Nic tu nie możesz. Zrozumiano? Ta mała niech wraca do matki.

DOROTKA To też mama. Mama Agata.

EWA Dorotka!

WORTMAN Ach, so? Czyje to dziecko?

GRABOWA To już lepiej powiem prawdę. Niczyje. Jej babkę przywaliło w piwnicy na amen, a oni ją uratowali. To i została z nami. Nie bój się, Dorotka. Powiem ci potem coś, to się roześmiesz.

NADLER Szkoda czasu, Karl. Zabiorę tego i pójdę.

WORTMAN Zaczekaj, to zaczyna być zajmujące. I możesz się tutaj czegoś nauczyć. A więc dziecko zupełnie obce? Sierota? O typie nordyckim? Takie zawsze znajdzie rodziców w Reichu. Za rok będzie już mówiło do mojej żony „Mutti“.

EWA Nie!

WORTMAN Czemu? O jedno dziecko polskie mniej, o jedno niemieckie więcej — czy nie wszystko jedno? I tak zostanieie już tu na zawsze. Nie macie dokąd wracać. *(wszyscy milczą. Po chwili)* Otóż to: musicie wśród nas istnieć, pracować, umierać. Powolj staniecie się niczym, mniej niż niczym, a potem zapomnicie nawet mówić waszym językiem...

GRABOWA My?

WORTMAN Ruhe! Żadnych sprzeciwów, żadnych buntów! Wy — niewolnicy. Już na zawsze. Takich szaleństw, jak ta próba oporu w Warszawie, więcej nie będzie. Nigdy! *(do Ewy)* Verstanden? Powtórz. *(wszyscy milczą)* No?

(po chwili) Nie chce wam to przejść przez gardło. Wy z Warszawy, patrioci, nicht wahr? Więc delikatnie, nic siłą. Nie powiecie tego wprost, tylko inaczej. (do Ewy) Du! Mógłbym zaraz zabrać to dziecko. Ale nie chcę. Zastanowisz się dobrze nad tym, co mówiłem tu do was. I oddasz tę małą sama. Wybierz: ona albo...

EWA Nie zależy mi tak bardzo na życiu... tutaj.

WORTMAN Toteż wybór będzie inny. Ta mała... albo... twój mąż.

EWA On? Dlaczego?

WORTMAN Bo ja tak chcę. Rozumiesz? Jeżeli dobrowolnie oddacie mi dziecko — powtarzam dobrowolnie, będzie to znaczyło, żeście w końcu zrozumieli: dla niego nie ma już żadnej nadziei: ani na wolność, ani na tę waszą Polskę. Na te wszystkie głupstwa, o których nie mogę już słuchać. I wtedy pozwolę ci iść razem z nim (wskazuje na Jerzego) nach Berlin. Do fabryki. Also? Będziesz wolała powiedzieć „nie” i zatrzymać małą: sehr gut. Wasza sprawa. Ale wtedy odesłamy twojego męża do... Auschwitz. Wy to nazywacie Oświęcim. Ranny, słaby... Tam odpocznie.

EWA Pan tego nie robi.

WORTMAN Warum? Nikt ci nie każe poświęcać się dla ojczyzny, której nie ma. Ani też dla obcego dziecka.

JERZY Jeżeli to przemoc, jeżeli musimy jej ulegać, chcę wybrać sam.

WORTMAN I właśnie dlatego nie będziesz wybierał. To onj zadecydują o twoim losie. Heinz, zaprowadzisz go — razem z tamtymi, którzy czekają za drzwiami — pod jedynekę. Szewca przyślesz mi tutaj. Będę miał dla niego robotę.

NADLER (do Jerzego) Idziemy.

EWA Jerzy!

JERZY Ty wiesz, czego ci zrobić nie wolno.

EWA Nie, nie! Jerzy!

WORTMAN (krzyczy) Wychodzić! (po pauzie, gdy za tamtymi zamknęły się drzwi z prawej) Miłość... puste słowo, kiedy nie popiera go czyn. (do Profesora) Ty... Powinieneś się wstawić za synem. Proś ją. Niech dobrze wybierze...

PROFESOR Myślałem tam, w Warszawie, że to już dno. Że nie ma dla mnie nic, prócz rozpacz. A teraz...

WORTMAN Na te rozważania będziesz miał, du alter Mann, dość czasu dzisiaj w nocy. (do Miry) A ty uważaj! Jeśliby ona z mężem poszła jutro na roboty, mogłabyś pójść i ty z tą twoją przyjaciółką. Wystarczy tylko oddać dziecko. Namysł się, jak postąpić. (do Grabowej i Gwarka) I ty, i ty. Chciełście być razem, będziecie razem wszędzie. I radźcie także zusammen. (do Grabowej) Będziesz miała okazję... gadać za dwoje... (podchodzi do Gwarka i patrzy mu chwilę wprost w oczy) Bo ten twój uparcie milczy. Ten twój mi się nie podoba.

GRABOWA Mnie też nie za bardzo.

WORTMAN Du alte Hexe! Dziś słowa niewiele kosztują. Dopiero tej nocy nabitiora ceny. I wtedy każde z nich będzie dla ciebie, dla niego, dla was na wagę... życia. (do Szewca, który wchodzi z Nadlerem) Chodź bliżej, Herr Schuhmacher. Pamiętasz o czym mówiliśmy! Dwa dni. Cztery dni... No?

SZEWEC Tak. Nie... Tak.

WORTMAN Sam nie wiesz? (pogodnie i dobrotliwie, z nutką ironii) Nic nie szkodzi, namyśliś się przez tę noc.

NADLER Zamykasz ich tutaj?

WORTMAN Tu? Po co? Uciekać nie ma dokąd. Psy spuszczone. Posiedzą tam koło drutów, pod sosną. I tak Kreis zjawi się po... niektórych z nich skoro świt. (otwiera drzwi z lewej) Dopiero październik. Przemyrozek słaby... (odwraca się gwałtownie od drzwi i krzyczy) Raus! (wszyscy wychodzą. Szewc idący ostatni, ogląda się i patrzy jak zahipnotyzowany na komendanta) Sześć dni... Dziesięć, jeżeli nie zawiodą cię oczy, uszy. (podchodząc blisko) Oddadzą dziecko, możesz zarobić i więcej.

SZEWEC (w panice) Och...

(wychodzi za innymi. Idąc w smudze świetlnej, padającej z otwartych drzwi, ludzie docierają do drzewa i siadają pod nim na gołej ziemi. Obaj oficerowie stoją w otwartych drzwiach. Kurtyna zapada na krótką chwilę)

Odsłona 2

Jest późna noc, gwiazdzista, wietrzna. Pięcioro ludzi wciąż jeszcze siedzi nieruchomo pod drzewem. Barak jest ciemny i pusty, ale reflektor stojący na stoliku przed drzwiami rzuca na czekających jasną smugę światła. Gdzieś daleko ujadają policyjne psy. Nagle macki innego reflektora, ustawionego w głębi obozu, zaczynają błędzić po niebie, po drutach, po skulonych postaciach. Zjawiają się i zaraz nikną.

DOROTKA Mnie jest zimno.

GRABOWA No! Ale co pomoże gadanie? Przytul się mocniej...

MIRA (po długim milczeniu) Powiedział: „jeżeli oni pójda na roboty, to i ty“. Nie mówił: „pójdiesz z nimi“ albo „pójdiesz z tą kobietą“, tylko „z przyjaciółką“... To znaczy — uwierzył, że ja córka pastora?

GRABOWA Ciszej!

MIRA Uwierzył?

GRABOWA Kto go tam wie?...

MIRA Pozwoli... żyć?

GRABOWA Przychodzi człowiek na ten świat i nie pyta nikogo, czy wolno. Umiera i też nikogo o pozwolenie nie prosi. Widać życie człowiecze swoje jest, własne. Że też ziemia nie strząchnie z siebie takich, co myślą, że koniecznie ich pozwolenia potrzeba, żeby żyć. I że bać się ich — mus.

MIRA (z zalem) Ziemia nie strząchnie...

GRABOWA Bo rozumu jej brak. Choć sama tylko i dlatego po niebie lata, że strachu nie zna. Kto jej stanie w poprzek? To i będzie krążyć jeszcze z milion lat...

SZEWCA A my...

GRABOWA A w nas jakby diabeł wstąpił. Nic, tylko boi się człowiek drugiego człowieka.

GWAREK I zawsze już tak będzie?

GRABOWA A ja skąd wiem, ile czasu potrzeba ludziom, żeby zmądrzeć?

MIRA (po pauzie) Chyba nie uwierzył: „Oczy masz aksamitne, czarne“... Jeżeli nie oddamy jej, jeżeli powiemy: nie, to co zrobią tu... ze mną? Do Oświecimia? Do gazu?

GRABOWA Ciszej!

MIRA Ja cicho. (patrząc na Szewca) A pan przecież jak i my. Wszystko rozumie... Też chce żyć...

SZEWCA (żarliwie) Ja muszę...

GRABOWA Każdy tak myśli.

SZEWCA (z nadzieją w głosie) To w końcu jak? Powiemy jej?

GRABOWA Komu?

SZEWCA Tamtej. Że takeśmy uradzili: dziecko trzeba oddać.

GRABOWA Ale! Z tą szwabską sosną pan chyba uradził, bo nie ze mną. Ja tam ani Warszawy się nie zaprę, ani polskiego języka w gębie.

MIRA A co będzie wtedy... z jej mężem?

GRABOWA A żeby ich! (po chwili) Ale nie będę doradzać i tak.

SZEWCA (wstając) Radzić nie grzech. Można spróbować. (idzie parę kroków. Nagły jazgot psów. Szewc staje, słucha)

GRABOWA I o co pytać? Czy odda dziecko, żeby takich jak pan psami kiedyś poszczuło? (chwila ciszy. Szewc wraca ze spuszczoną głową na dawne miejsce. Reflektor omiata teren obozu, druty i ludzi siedzących pod sosną)

SZEWCA Ciągłe szukają. Nic się przed nimi nie ukryje.

GRABOWA Wszechwiedzący, co? Tylko tego pan w siebie nie wmawiaj! Duch w panu do reszty upadnie.

SZEWCA Duch?

GRABOWA No? Nadzieja... A co? Majster jej może nie ma?

SZEWCA Nie, nie... Ja zresztą nic...

GRABOWA Gorzej, niż nic: galareta. I czego? Czego się trząść? Co oni o nas wiedzą? O majstrze, że szewc, o niej, że czarna, a o nim, że umie trajlować po niemiecku. Ale jak sprawdzą, czy dokumenty nie lipne?

SZEWCA A one... nie całkiem prawdziwe?

GRABOWA No! *(nagle nieufna)* A zresztą skąd ja mogę wiedzieć? To już każdy o swoim ausweissie najlepiej wie. *(po chwili)* Majstra dokąd chcą wystać? Do Oświęcimia?

SZEWEC Nie... To jest... Nie wiem... Może za dwa dni... Cztery...

GRABOWA Dobrze by wiedzieć: cztery to nie dwa.

SZEWEC Sama pani widzi. A może nawet więcej?

GRABOWA Pewnie, że takie dni, to na palcach liczone. Darowane! Chciało by się odrobić całe zło, które na człowieku przez tyle lat jak brud narosło.

SZEWEC Co pani... O kim?

GRABOWA Ale się majster spłoszył! Z Warszawy i taki nerwowy. Z jakiej to ulicy?

SZEWEC Ze Starówki. Z Piwnej.

GRABOWA Patrzcie państwo! To byli tam i tacy?

SZEWEC A co?

GRABOWA A to, że uwierzyć trudno. Ze Starówki? Kto by pomyślał?

SZEWEC I czego pani wydziwia? Prawdę mówię. Tamtejszy jestem, z dziada pradziada.

GRABOWA To może z Kilińskich?

SZEWEC Nie darmo tamten mówił, że pani jęcza.

GRABOWA No, dobra. Jesteśmy na kwit. A o mnie, Bogiem a prawdą, wszyscy tak mówią. Nawet mąż nieboszczyk.

SZEWEC Jakże? A ten?

GRABOWA Jaki ten? A... To... inny. Nieważny.

SZEWEC *(udając, że zrozumiał)* Aha.

GRABOWA Mruk. A ja myślę, że po to Bóg stworzył język, żeby się w gębie obracał.

SZEWEC Wiadomo.

GRABOWA Jednym słowem, jakoś nie całkiem tak... Rozumie pan?

SZEWEC Aha... *(po pauzie)* Nie, nic nie rozumiem.

GRABOWA Jakby nie zupełnie swój. Można powiedzieć, że — z przeproszeniem — każdy inny lepiej by się dla mnie nadał niż on.

SZEWEC E... To znaczy... nawet ja?

GRABOWA Pan? Czy ja wiem? Milczący pan nie jest. Tylko oczy musiałyby pan troszkę przytrzymać.

SZEWEC Przytrzymać?

GRABOWA No. Na mój gust zanadto latają. Ale owszem, dosyć uczciwe.

SZEWEC Pani to wszystko myśli naprawdę? Bez żadnej złości?

GRABOWA Pewnie, że bez. Ja mam do ludzi węż. Majster żonaty?

SZEWEC Nie. Ja całkiem sam.

GRABOWA Nie ma się czym chwalić. Ślubna pomoc wszystkim potrzebna. Zawsze mówiłam: niezła rzecz — dobry mąż. Taki w sobie przywoity, z charakterem, owszem, a swoją drogą troszkę, troszeczkę płochliwy. Nie więcej niż pan. Tylko, że o takim nie łatwo.

SZEWEC Myśli pani?

GRABOWA I po co to się ciągle pytać, co ja myślę? Myśl pan także sam. Ja tam wiem jedno: starawa jestem, a jakby mi się kto naprawdę spodobał, to bym i na ustępstwa poszła. *(po chwili)* Drobnie.

SZEWEC Rozumiem.

GRABOWA Ale ziąb! *(po pauzie)* Szkoda tylko, że pan do Piwnej taki przywiązany. Wola lepsza...

(spoza baraku wychodzi Nadler. Przystaje przed grupą siedzących)

NADLER *(do Ewy)* Namysliłaś się już?

EWA Nie.

NADLER *(do Szewca)* A ty? Chcesz mówić z komendantem?

SZEWEC Ja? Z nim?

NADLER Schneller!

SZEWEC Nie wiem... Jeszcze nic nie wiem...

NADLER Macie czas tylko do apelu. Nie więcej niż godzinę. *(wychodzi)*

GRABOWA I czego pan tak cienko ćwirka? Ni to, ni owo. Ja tam nie py-

tam, czego oni od pana chcą, ale dobrze radzę: albo już zaśpiewać jak oni panu zagrają...

SZEWEC Nie, nie!

GRABOWA Albo wygarnąć tak właśnie! „Nie! Pies wam mordę lizał!“ I już! SZEWC Łatwo tak mówić. Tutaj. Ale tam przy nich... Prędzej się zlitują, jak nie będę zuchwały.

GRABOWA E! Pan to nawet na swojej słabości chce zrobić interes.

SZEWEC Bo muszę żyć! Kto ja jestem, żeby się stawiać? No, kto? Zwykły, szary człowiek. Prosty szewc.

GRABOWA A kto był Kiliński? Cesarz?

(długa chwila milczenia)

SZEWEC Sama pani wie. Starówki już nie ma. Warszawy nie ma...

GRABOWA Też gadanie! Ale my jesteśmy. My! Do ziemi nas przygną — wystupuję się znów. Charakter trzeba mieć. Ot, co.

SZEWEC To pani myśli, że ja... że my tutaj nie pomrzemy?

GRABOWA Ja — nie. A majster — to nie wiem. Zobaczy się. Tę rzecz trzeba czuć w sobie. Ja tam do życia taką mam ochotę, że aż dziwnie. Powiem coś, to się pan roześmieje: choćby mi głowę całkiem rozłupali o kamień, to i tak się podniosę i polecę zobaczyć, co tam u nas, na Woli... *(po pauzie)* A może bym doleciała i na Piwną...

SZEWEC Ale z pani kobita!

GRABOWA No!

MIRA Ktoś idzie...

(ktoś baraku przechodzi wartownik Wabe. Przystaje na chwilę i przygląda się siedzącym)

DOROTKA *(kapryśnie)* Ja jego nie chcę!

GRABOWA Cicho! Nie mów teraz nic!

WABE Ganz kleines Kind... *(szpera po kieszeniach i rzuca Dorotce kawałek chleba ze słoniną)* Gut. Und Fett!

(światło dalekiego reflektora przesuwają się po placu, zmierzając w stronę wartownika. Ten odwraca się gwałtownie i odchodzi)

SZEWEC Człowiek...

GRABOWA Ale takiemu jej nie dadzą. A tamten...

(długa cisza)

PROFESOR Kat. Oprawca...

EWA Ojciec?

PROFESOR Tak.

EWA Nie mogę myśleć, rozważać. Mogę tylko czuć. *(po pauzie)* Prawda, to niemożliwe, żeby człowiek taki jak on przestał nagle istnieć mówić, tworzyć... Żeby już nigdy... Czekaj teraz. Ojciec... Czy on może mnie nie ufać? Nie mieć nadziei? Przecież wie, że nikt go nie kocha tak, jak ja.

PROFESOR Nikt?

EWA Ojciec...

PROFESOR Ja nie mógłbym chcieć jego śmierci.

EWA Och! A ja? *(po pauzie)* Ale on nie zaparłby się swoich uczuć. Wiedziałby, co wybrać.

PROFESOR Nigdy o sobie nie myślał. Za to ja... *(po chwili)* Pamiętam jeszcze teraz jego pierwszy krzyk. A potem... Wyciągnięte rączki, śmieszne pytania, pierwsze koślawe litery...

EWA Ojciec...

PROFESOR Ja nie mógłbym chcieć jego śmierci.

EWA To znaczy, że ja...?

PROFESOR Nie wiem.

EWA I nie wiem ojciec, jaki jest... on? A kto go uczył pisać tymi koślawymi literami słów, które teraz mogą zabić?

PROFESOR Och! *(gorzko)* Wolność! Ojczyzna... Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że choć jest jeden sposób, żeby przyjść na świat, ludzie prześcigać się będą w mnożeniu sposobów, na które można umierać.

EWA Wtedy... Ale ja dziś muszę wybierać. Ojcze! Tamta kobieta czołgała się pod wagonami, gotowa na kalectwo, na śmierć... Wydarła to dziecko z ich rąk. I on je ocalił po raz drugi. A ja miałabym je teraz oddać? Przyznać, że nie ma już w nas nadziei?

PROFESOR Nikt nie może żądać ode mnie zgody na śmierć syna.

EWA Więc mamy ją teraz, tu, nauczyć powtarzać za nami: „Spalono twoją chałupę, twoją wieś. Po Warszawie nie zostanie nawet ślad... Jedna jest teraz ojczyzna — ta pod tym niebem. I jeden tylko język godny panów“. Czemu ojciec milczy? Powinna chyba wiedzieć jak się wymawia słowo „Mutti“. Dostanie od nas to słowo, jak wiatyk na drogę...

PROFESOR Straciłem dom, córkę, żonę...

EWA Ojcze!

PROFESOR Tyle krwi! Zniszczonych narodowych pamiątek... Walczyliśmy z nimi ofiarniej, niż było można...

EWA I już nie musimy bronić tego, co zostało... w każdym z nas? Czego nie zniszczą, jeżeli my sami... Och, to nieprawda. Nieprawda! To nie chodzi tylko o to dziecko. Chodzi o nas samych.

PROFESOR A jaka może być nadzieja dla nas?

GRABOWA (po długiej chwili milczenia) To było jakoś na początku powstania, w sierpniu. Czołg w nas trafił. Jak huknęło, jak powiało, jak ludźmi zamiotło, to i zatrzęsnęły się za mną drzwi piwnicy. Na amen. Myślę: żywcem przegrzebało! Straciłam wtedy nadzieję. Aż tu odwracam się i patrzę: gdzieś, w górze, od tego samego pędu wiatru otworzyło się zabite na głucho okno. I wyszłam tamtędy...

EWA Ach, ciotko Agato!

PROFESOR (po pauzie) Co oni ze mną zrobili... Co zrobili...

(Wortman wychodzi spoza baraku i stoi chwilę, przyglądając się siedzącym.
Nagle krzyczy)

WORTMAN Wstać! (do Szewca) Mów, co masz do powiedzenia!

(Szewc milczy)

WORTMAN Schneller! (po chwili) Was ist los? Ogluchłeś czy zapomniałeś skamleć? Antworten!

GRABOWA Płochliwy. Zatyka go ze strachu.

WORTMAN Ruhe! Więc? Tak ci się chciało żyć. Ile? Dziesięć dni? (po chwili milczenia) Cztery? (po pauzie) Dwa?

GRABOWA Co szkodzi powiedzieć ile, kiedy sami proszą?

WORTMAN Słyszałeś? Więc?

SZEWEC Nie.

WORTMAN Co znaczy to twoje parszywe: nie?

SZEWEC Nic nie wiem. Ani dwa dni, ani...

WORTMAN Dwa dni da się chyba zarobić?

SZEWEC Nawet i tyle nie...

WORTMAN Dwa dni na pewno.

SZEWEC Ani nawet jeden dzień...

WORTMAN Unsinn! Przyjrzyj się dobrze tej czarnej. No?

SZEWEC Ja nic nie wiem...

WORTMAN (wskazując Gwarkę) A ten? Także... nic? Dobrze pomyśl. Może jednak coś wiesz o tych... niezłomnych?

SZEWEC On...

WORTMAN No? Śmiało!

GRABOWA Zaraz zełże.

WORTMAN Ruhe! Also! (Szewc milczy) Może się ich boisz? Co? Zabiorę ciebie stąd i nigdy ich już nie zobaczysz. Teraz mów. Cóż... on?

SZEWEC Przez cały czas milczał... Nie mam nic do powiedzenia.

WORTMAN Łżesz!

SZEWEC Nie, nie... Mógłbym skłamać. Ale po co to panu? Nie wiem nic...

Przecież i ja chciałbym żyć... Wyjść stąd... zobaczyć raz jeszcze... Warszawę...

WORTMAN Was? Co to za nowa śpiewka? Tam jest już tylko popiół. Führer stał ją z karty Europy. Verstanden? Wszyscy?

GRABOWA Jeden tylko z nas przygłupi.

WORTMAN Du, Hexe! Ty także możesz... nie być.

GRABOWA Ja? Spokojna głowa!

WORTMAN Was soll das heissen?

GRABOWA A nic... Tylko pomyślałam głośno, że pan generał to musi być już teraz całkiem spokojny. *(drwiąc)* Ja tutaj, łatwiej wam będzie zwyciężyć...

WORTMAN Frech und dumm! Dumm! Każda kara dla ciebie za mała! Plecami do mnie! Odejść tam. *(do Gwarka)* Ty z nią *(do Miry)* I ty. Nie odwracać się. *(do Szevca)* Namysliłeś się?

SZEWC Nic nie wiem. Nic...

WORTMAN Więc i ty. *(Szevc staje przy Grabowej. Do Ewy)* Nun? Słucham? Wiesz już, bez czego nie umiałabyś żyć? Co chcesz dla siebie ocalić? Mam nadzieję, że po tak długim namyśle będziesz mówiła rozsądniej: nie — nie, tak — tak. A więc? Dziś transport do Auschwitz ma zabrać męża?

EWA Nie.

WORTMAN To znaczy, że oddacie mi dziecko?

EWA Nie! Nie!

WORTMAN Nie warto udawać, że nie rozumiesz. Pytam ostatni raz.

PROFESOR Ewo...

WORTMAN Wiem, co myśli w tej chwili ten stary człowiek: „To szaleństwo bronić nie istniejących już wartości. Wasza ojczyzna! Walka o wolność. To nie jest warte życia najbliższego człowieka. A przy tym to dziecko jest obce, zupełnie obce...“ *(do Profesora)* Tak myślisz. Przyznaj się, że tak.

PROFESOR I niech będzie za to przeklęty wasz führer i wy wszyscy. Tak myślałem... chciałem ocalić syna...

EWA Ojcie!

PROFESOR To nie moja wina, że jestem w ich rękach. Że każą mi mówić to, czego mówić nie chcę...

WORTMAN Genug! *(do Ewy)* Cóż ty? Wybrałaś?

EWA Tak. Teraz tak.

WORTMAN *(drwiąc)* Endlich! Jeżeli się naprawdę kocha...

EWA Nie pan będzie o tym sądził.

WORTMAN Du! Mój sąd jest jedynym, z którym w tej chwili musisz się liczyć.

EWA Czemu? Jeszcze się nie ugięłam przed wolą, która zadaje gwałt.

WORTMAN Dosyć!

EWA Mam wybierać. Ale wybiera się tylko wtedy, kiedy się wie, rozumie, że wybrać koniecznie trzeba. Że albo ktoś najbliższy... albo ojczyzna... Ale ja... nie rozumiem: co może mnie zmusić do takiego wyboru? Zaprzec się wszystkiego, co kocham, czym żyję? Dlaczego? Bo pan tak chce? Bo pan ma nade mną władzę? Och, to gra niegodna człowieka: okrutna, zła... Nie będę w niej brała udziału. Nie chcę!

WORTMAN Za każde z tych słów...

EWA *(przerzuwając)* Wiem. Pan może tu zrobić wszystko, co zechce: bezkarnie mnie zabić, zabrać to dziecko. Posłać na śmierć w obozie niewinnego człowieka. Ale to wszystko może — pan. Nie ja. To pan może być... mordercą.

WORTMAN Genug!

EWA Jednego pan nie może: zmusić mnie do podłości, do zdrady. Do odpowiadania „tak“ albo „nie“ — zawsze wbrew mojej woli. I dlatego nie dostanie pan ode mnie żadnej odpowiedzi. A jeżeli pan chce wyboru, to teraz pan będzie wybierał, nie ja. Będzie pan okrutny albo sprawiedliwy, bo któż może panu zabronić postąpić z nami sprawiedliwie? Będzie pan wybierał między sobą — dziką bestią, a sobą — wspaiałą istotą, jaką — wszystko jedno, na wolności, czy w niewoli — może być każdy człowiek. To wszystko. Nie powiem już więcej ani jednego słowa. Do końca.

WORTMAN *(pozornie spokojnie)* Sehr gut. *(krzyczy)* Wabe! *(do nadbiegającego wartownika)* Zabierzesz ich pod jedynkę. *(wskazuje na wszystkich prócz Ewy i Profesora)* Wrócisz tu zaraz i będziesz miał na oku *(wskazuje na Profesora)* tego człowieka i dziecko.

WABE Tak jest, Herr Kommandant!

WORTMAN Odprowadzić! (Wabe wyprowadza Grabową, Gwarką, Mirę i Szewca. Do Ewy, wskazując wewnątrz baraku) Ty wejdź tam! Jeszcze... porozmawiamy.

AKT III

Ta sama dekoracja. Placyk jest ciemny, reflektor zgaszony. Pod drzewem czuwa Profesor, przy nim leży śpiąca Dorotka. W baraku przed komendantem obozu stoi nieruchomo Ewa. Na jej twarz pada z boku ostre światło lampy.

WORTMAN Słyszałaś? Wydam wam wszystkim dokumenty. Tylko mała zostanie tutaj. Słyszysz? Tylko to dziecko. Przestań wreszcie milczeć! Odpowiadaj! (po pauzie) To nie może być, żebyś milczała tak uparcie! Nie czujesz nic? Nie cierpisz?

(Ewa milczy)

WORTMAN Wyjdź!

(Ewa wychodzi drzwiami z lewej)

NADLER (wchodząc z prawej) Heil! Nie kładłeś się wcale, Karl?

WORTMAN Nie.

NADLER Ta kobieta?

WORTMAN Milczy! Wciąż jeszcze milczy!

NADLER Zdaje się, że zaczynasz tracić równowagę?

WORTMAN Unsinn! Potrafię ją złamać, zniszczyć.

NADLER Pamiętaj, że za godzinę apel.

WORTMAN Za godzinę będzie tu znowu ład i absolutny spokój.

NADLER Tym lepiej. (patrząc na drzwi) Oni czekają... tam?

WORTMAN Ojciec i dziecko.

NADLER (nagle niespokojny) A... reszta?

WORTMAN Szewc nie wiedział nic. Był niepotrzebny. Odesłałem go razem z tamtymi.

NADLER To znaczy dokąd?

WORTMAN Barak pierwszy.

NADLER Jako? (po pauzie) Kazałeś zamknąć tam jej męża!

WORTMAN A więc?

NADLER Spotkają się wszyscy...

WORTMAN Nie rozumiem.

NADLER On może im... Oni mogą się tam dogadać.

WORTMAN I co z tego?

NADLER (po pauzie) Nic. Masz rację: nic! (śmieje się nieszczercze)

WORTMAN Dziwaczysz... Ale i tak skrócę czas, w którym mogliby się — jak ty to nazywasz — porozumieć. Przyprawdź tego aktora.

NADLER Tu?

WORTMAN A czemuż by nie?

NADLER Posłuchaj! To wszystko nie ma żadnego sensu! Chciałeś mnie przekonać, że są słabi. Że zrobią wszystko, powiedzą wszystko, co ty zechcesz. Zawzięłeś się. Dobrze! Ale ani tobie, ani mnie nie zależy przecież na tym eksperymencie. Popełniłeś jeden błąd przyprowadzając ich tutaj. Popełnisz drugi, wdając się z nimi w jakieś układy, rozmowy...

WORTMAN (po chwili) Ta kobieta milczy od paru godzin.

NADLER Więc odesłaj ich. Wszystkich razem do Auschwitz. Jeszcze dziś.

WORTMAN I to mówisz... ty?

NADLER Och!

WORTMAN Kreis i tacy jak on potrzebują ludzi.

NADLER Jeżeli tylko o to chodzi...

WORTMAN Naprawdę nie rozumiesz? A przecież to nie mniej ważne od zwycięstwa na froncie. Tu także atakuje się, dopada wroga: widzi się jego przeżalenie, rozsypkę, jego powalone ciało. Więcej! Jego prawdziwą klęskę: serce i myśli, godne pogardy, bezsilne, nędzne... Czuje się upojenie własną siłą i... Cóż z tego, że już nie mogę zabijać jak ty, po żołniersku. Potrafię więcej: robić z nich rozdygotanych, żałosnych niewolników, judaszów... Jeżeli szatan istnieje, co za poczucie mocy musi mu dawać możliwość demaskowania tych, którzy chcą się uważać za ludzi!

NADLER Ale ja...

WORTMAN (*przerwywając*) Wiem. Nie jesteś pewien, czy wszyscy wśród tamtych są jednakowi. A więc — wyjątki się wytepi! Takich miast jak zburzona Warszawa, więcej nie będzie. On powiedział, że zetrze ją z powierzchni ziemi. Dla przykładu. Na zawsze! Dlatego twoje wątpliwości są nieważne. Ważne jest to, że jednakowi jesteśmy — my. Że jestem pewien każdego z nas, jak ciebie. I że w każdego wierzę prawie tak, jak w samego führera...

NADLER Karl!

WORTMAN Jeżeli to jest bluźnierstwo, modłę się nim co dzień do mojego narodu! Nadludzie! Ta właśnie wiara nadaje sens memu życiu. Ona pozwala mi być dumnym z tego, że jestem. I narzucać naszą wolę innym. (*twardo*) Komu tej wiary brak — jest chory!

NADLER Karl!

WORTMAN Nie? Tym lepiej! Głowa wysoko, chłopcze! I idź po niego.

NADLER (*po chwili*) Myślisz, że kiedy ona go zobaczy, zacznie mówić?

WORTMAN Będzie musiała zaprzeczyć temu, co powiem. A więc jednak... wybrać. Jedno tylko: nie dziw się niczemu, co tu usłyszysz. I strzeż go jak oka w głowie. Teraz idź.

NADLER Jeżeli muszę...

(*Wortman nie odpowiada. Nadler wychodzi drzwiami z prawej. Dzwoni telefon*)

WORTMAN Transport? Tak, wiem. Kiedy nadszedł? (*notuje*) Dobrze, zatrzymasz go na bocznicę. Nie, wróci skąd przyszedł. Przestań rechotać, Stolz! To rozkaz! Uzgodniony, tak. Trudno, dusimy się tutaj. Musimy się trochę rozładować. (*powoli*) Teraz? Jeszcze nie dzień. Powiesz konwojentom, że rozmawiam z nimi dopiero za godzinę.

(*wchodzi Nadler, za nim Jerzy*)

WORTMAN Dzwonił Eryk. Przyszedł ostatni warszawski transport. Trzeba będzie wyznaczyć jego trasę powrotną zaraz po apelu.

NADLER Cóż za noc!

(*Wortman idzie ku drzwiom z lewej*)

NADLER (*do Jerzego, szeptem*) Wiesz, co ciebie czeka, jeżeli...

WORTMAN (*w drzwiach*) Herein!

(*wchodzi Ewa. Na widok Jerzego robi gwałtowny ruch, jakby chciała biec w jego stronę, ale staje nieruchomo przy drzwiach*)

WORTMAN Możecie się przywitać.

JERZY (*obejmując ją*) Nie dręcz się tak. Nie trzeba. Ja przecież wiem, co myślisz, co czujesz...

WORTMAN Czyż tak? I wie pan, jaki zrobiła wybór?

JERZY Nie rozumiem.

WORTMAN Bo pana żona wybrała. Tej nocy.

JERZY Ewo?

WORTMAN Wybrała nie tak, jak pan — jako mąż — miał prawo spodziewać się, myśleć. (*po pauzie*) Wybór padł na... dziecko.

(*Ewa zaprzecza gwałtownie ruchem głowy. Wortman dostrzega ten ruch*)

WORTMAN Nie? Czyżbym się omylił? Na niego? (*i znów Ewa przecząco porusza głową*) Dwie odpowiedzi, to tyle, co żadna. Kazałem ci wybierać (*Ewa*

milczy) Mów! *(po długiej chwili)* Pozostajemy więc przy wersji pierwotnej: dziecko. Chyba, żebyś chciała wybierać jeszcze raz. Also?

(Ewa patrzy na Jerzego oczami pełnymi łez)

JERZY Nie odpowiadasz? Nie chcesz? Mówiła mi Grabowa. A jednak wybrałaś...

WORTMAN Zaprzecz.

(Ewa milczy)

JERZY Nie wszystko rozumiem. Ale to nic. Wybrałaś na pewno dobrze.

WORTMAN *(do Nadlera)* Dziś jeszcze odeślesz go do Auschwitz.

JERZY To nie może być wyrok ostateczny.

WORTMAN Dlaczego? Tam jest najodpowiedniejsze miejsce dla buntowników.

(do Ewy) Nie będziesz mówić? Nawet teraz, żeby go ocalić. *(po chwili)*

A więc tak. To wyrok ostateczny. Hei!n!

NADLER *(przez zęby)* Raus.

JERZY *(do Nadlera)* Pan się mści na mnie za to, co o nim wiem...

NADLER Uważaj!

WORTMAN Was ist los? *(Nadler nie odpowiada. Do Jerzego)* Nie wierzysz, że tak właśnie wybrała? Cóż łatwiejszego, niech zaprzeczy. Słyszałaś? *(Ewa milczy)* Ach tak, bunt? Opór i bunt nawet tu, w obozie *(do Nadlera)* Zabierz go.

JERZY *(do chwytającego go za ramię Nadlera)* Pan obiecał, że nigdy więcej. Na żaden rozkaz...

WORTMAN *(dostrzegając wahanie Nadlera)* Also, Heinz?

(Nadler popycha Jerzego ku drzwiom. Ewa biegnie za mężem, dopada go w drzwiach, obejmuje milcząco)

JERZY Nie płacz... Nie trzeba płakać. Wróć i stamtąd. Będę się bronił. Ja...

NADLER Schneller! *(wychodzą)*

WORTMAN *(po chwili)* Więc jednak łyż... A tymczasem wystarczy jedno słowo.

Nigdy nie jest za późno. Dopóki nie podpiszę rozkazu, włos mu nie spadnie z głowy. Przynajmniej tutaj. Also? Cóż za upór! Może ci nie zależeć na życiu własnym, ale ten człowiek... Czuł się zdradzony. Nie rozumiał dlaczego... Pierwszy barak jest tuż obok, ale w tej chwili każdy krok oddala go od ciebie. Od wyjaśnienia zagadki. Jest pełen goryczy, żalu... Dziś jeszcze — Auschwitz! Więc? Wezwę go z powrotem. Tak? Powiem, że nie mogłaś tego znieść, że wybrałaś inaczej? *(Ewa milczy)* Zaczynasz mnie drażnić, rozumiesz? Dobrze. Dam ci ostatnią szansę. Tym razem przez wzgląd na niego. *(otwiera okno)* Wabe!

WABE *(za oknem)* Zu Befehl, Herr Kommandant!

WORTMAN Pójdiesz do pierwszego baraku. W tej chwili odprowadził tam więźnia Untersturmführer Nadler. Niech wracają natychmiast tutaj. Obaj. Schnell! *(zamyka okno)* To potrwa tylko chwilę. *(po długim milczeniu)* Kiedy mu powiem, że zmieniłaś zdanie, spojrz na ciebie. I jeżeli sama, swoim milczeniem, nie zgasisz błysku radości w jego oczach... *(słychać dwa kolejne wystrzały)* Co to?

(otwiera znów okno. W tej chwili do baraku wpada wartownik Wabe)

WABE Herr Kommandant...

WORTMAN Co się stało?

WABE Zabity.

WORTMAN Kto?

WABE Więzień...

EWA On kłamie!

WORTMAN Kto śmiał strzelać? Kto pozwolił! Odważyłeś się? Ty?

WABE Nie, nie!

WORTMAN Więc kto?

WABE Untersturmführer Nadler.

WORTMAN Łżesz!

NADLER *(w drzwiach)* Ja, Karl.

- WORTMAN (po chwili) Ty? Nie rozumiem. Przecież wiedziałeś... Mówiłem ci, że odpowiadasz za niego.
- NADLER Kiedy teraz wydawałeś rozkaz, myślałem, że zmieniłeś zdanie.
- WORTMAN (groźnie) Heinz!
- NADLER Zresztą to nie dlatego. Próbował uciekać.
- WORTMAN Dokąd?
- NADLER W kierunku bramy C.
- WORTMAN Tamtędy uciec nie można.
- NADLER Nie reagował na moje: „halt“!
- WORTMAN Wołałeś?
- NADLER Dwa razy.
- WORTMAN (do wartownika) Przebiegał koło ciebie.
- WABE Ja... nie widziałem... nikogo.
- NADLER Wabe szedł przed nami.
- WABE (skwapliwie) Tak jest, Herr Kommandant!
- NADLER Tamten od razu skręcił w prawo.
- WORTMAN I... nie żyje?
- NADLER Nie.
- EWA (podchodząc do Wortmana) Morderca! I kłamca! Kłamca! Bez pana rozkazu nie mogło się tu stać nic! A on nie uciekał... Nie mógł uciekać... Nie chciał!
- WORTMAN (do Nadlera) Dałbym wiele, żeby jej wepchnąć te słowa z powrotem do gardła!
- NADLER Zasłużył na śmierć.
- WORTMAN (patrząc na wartownika) Nie odwróciłeś się na dwukrotne „halt“?
- WABE (zakłopotany) Szedłem przodem... Psy czekały... Był wiatr...
- WORTMAN Psy? I nie biegly za... tamtym?
- WABE (z rosnącym przerażeniem) Nie...
- WORTMAN Psy, które nic nie widzą... Wartownik, który nie słyszy. Piłeś, Wabe?
- WABE Jestem trzeźwy, Herr Kommandant!
- (Wortman podchodzi do drzwi, otwiera je, wygląda)
- WORTMAN Wiatr... Silny, porywisty. I jeszcze zupełnie ciemno... (odwraca się) Możesz iść, Wabe. Albo nie! Przyprowadzisz tutaj tych, z którymi ten człowiek był zamknięty przez całą noc.
- NADLER (gwałtownie) Nie!
- WORTMAN (twardo) Tak! (do wartownika) I nie mów im o niczym.
- (Wabe wychodzi drzwiami z prawej)
- NADLER Oni? Tu? Po co? Popełniasz błąd za błędem.
- WORTMAN Ty mi to mówisz, Heinz? (mierzą się oczami. Do Ewy) Nie podpisałem żadnego rozkazu. Musi mi pani uwierzyć. I obiecuję, że dowiem się, jak było naprawdę. A teraz... Proszę stąd wyjść! (Ewa odwraca się i idzie jak automat ku drzwiom z lewej. Nagle przychodzi jej na myśl, że może jeszcze odnaleźć ciało męża. Biegnie przez placyk z okrzykiem „Ojciec“.
- Zostawiając śpiącą Dorotkę oboje znikają za barakiem. Oficerowie przez chwilę milczą)
- WORTMAN Also? Wierzę, że żołnierz führera nie potrzebuje bać się prawdy. Jeżeli co robi, to jawnie, z najgłębszego przekonania, albo też na wyraźny rozkaz. Nigdy z brudnych pobudek osobistych.
- NADLER A ty? Bawiłeś się nimi, nicht wahr?
- WORTMAN To było także starcie. Walka.
- NADLER A tamto?
- WORTMAN Mord.
- NADLER Nie bądź śmieszny, Karl! (po chwili) Przyjaźniliśmy się od tylu lat... Czy warto dla pierwszego złe zrozumianego rozkazu, dla jednego, jak ty twierdzisz, bandyty...
- WORTMAN Tu nie chodzi o nich! W tej chwili muszę mieć inną pewność; że mogę ufać tobie jak sobie samemu. Inaczej... Dobrze wiesz! Byłeś dla mnie czymś niezwykle cennym. Uosobieniem przyszłości naszego narodu...

NADLER Dlaczego mówisz: „byłeś“?

WORTMAN (zaskoczony) Tak powiedziałem? (chwilę patrzą na siebie w milczeniu)

(wchodzą drzwiami z prawej: Grabowa, Gwarek, Szewc, Mira. Za nimi wartownik Wabe)

WABE Przyprowadziłem wszystkich, Herr Kommandant.

WORTMAN Dobrze. (do Szewca) Co wiesz ty?

SZEWEC Ja? Nic...

WORTMAN Czy człowiek, który tej nocy przez parę godzin był z nimi mówił im, że chciałby... uciec?

SZEWEC Uciec? On?

WORTMAN Kogo z nich namawiał do ucieczki?

SZEWEC Nie mówił o tym. Ani słowa. Przysięgam! Z nikim.

WORTMAN (do Grabowej) Z tobą także — nie?

GRABOWA A jak stąd uciec? Opowiadał tylko...

NADLER (gwałtownie) Dosyć!

GRABOWA (wzruszając ramionami) Miałam mówić.

WORTMAN Pozwól, Heinz. Więc nie? A jednak próbował ucieczki.

GRABOWA Ale! Nie zostawiłby nas samych.

WORTMAN Czyż tak?

GRABOWA No!

WORTMAN Znacie go gorzej, niż wam się zdawało. Uciekał. Tak! I w czasie tej ucieczki został... zabity.

GRABOWA Nasz komendant? Jezu!

WORTMAN Coś ty powiedziała? Komendant?

GRABOWA Nazywaliśmy go tak. Wszyscy! Ratował ludzi od śmierci... I zabili go? Takiego człowieka?

GWAREK Kto?

GRABOWA A ty czego?

GWAREK (uparcie) Ja muszę wiedzieć, kto?

WORTMAN To nie należy do rzeczy.

GWAREK (patrząc na Nadlera) Pewnie ten, nie?

NADLER Du! Maul halten!

WORTMAN (podchodząc do Gwarka) Co to miało znaczyć?

GWAREK Jak powiem prawdę, nic im nie będzie?

WORTMAN (do Grabowej) Mówiłaś, że przygłupi?

GRABOWA A pan major, że go tutaj rozumu nauczą...

WORTMAN Mów, co wiesz. Wszystko.

NADLER Karl! Będziesz żałował.

WORTMAN (do Gwarka) Możesz się nie bać. Więc?

GWAREK Tej nocy powiedział nam... On tego oficera znał, nieprawdaż? Le-dwie tu wszedł, od razu go poznał.

WORTMAN (ironicznie) O? Słyszysz, Heinz?

NADLER Słyszę, że pozwalasz mu bredzić!

GWAREK Razem leżeli w szpitalu, w piwnicy.

NADLER (wściekły) I co jeszcze? Jak łąć, to zdrowo!

GWAREK Teraz, w sierpniu, w Warszawie. Bo ten tu był...

NADLER (przerzuwając) Nie pozwól mu! Karl!

WORTMAN Mów dalej. Był... czym?

GWAREK Jeńcem.

GRABOWA Naszych.

NADLER Łżesz!

GWAREK Chłopcy mówili naszemu komendantowi, że jak go brali, to trząsł się ze strachu.

NADLER Ja nie pozwalam! Słyszysz?

WORTMAN Dlaczego? Przecież to nie byłeś ty... Co mówił jeszcze ten... kłamca?

GWAREK Że skamlał, żebrał... Tłumaczył, że wypełniał tylko rozkazy. Że on — prosty żołnierz z Wehrmachtu, nie? Napierał się furt do szpitala. A ta jego ręka...

NADLER Karl!

WORTMAN Tak, starczy. (do Gwarka) Gdyby tamten żył, odszczekałby każde słowo.

GRABOWA Ale!

WORTMAN Ruhe! (po chwili) Wy! Nigdy nic o tym, co było tam, w tym bandyckim mieście. Nikomu. To wszystko potwarz! Tamten człowiek kłamał.

Dlatego bał się nas. Dlatego uciekał.

GWAREK To nie on bał się.

WORTMAN Jak?

GWAREK To Herr Untersturmführer nie chciał, żeby prawda wyszła na jaw!

NADLER Du, Bandit!

GWAREK Dlatego strzelał.

WORTMAN Lügner!

(długa chwila ciszy)

WORTMAN (do Grabowej) Twoje szczęście, że naprawdę przyglupi. Zaczekajcie tam, za drzwiami. Raus! (do wartownika) Ty zostań.

(więźniowie wychodzą na placyk)

WORTMAN Słuchaj uważnie, Wabe: musisz sobie przypomnieć... Dobrze pomyśl! Było ciemno. Ale słyszałeś poprzez szum wiatru, coś jakby okrzyk „halt“? Jeżeli nie dwa razy, to przynajmniej raz?

WABE (niepewnie) Może i słyszałem...

WORTMAN Słyszałeś na pewno! Jesteś doskonałym żołnierzem, czujnym wartownikiem. Niemiecki żołnierz ma uszy i oczy otwarte na wszystko. Nie odwróciłeś się tylko dlatego, ponieważ myślałeś, że to huczy wiatr...

WABE (po długim milczeniu) Tak jest. Tak, oczywiście.

WORTMAN Otóż to. Na przyszłość słuchaj jeszcze uważniej. A teraz idź! Przypilnujesz mi tych ludzi przed barakiem.

WABE Tak jest, Herr Kommandant!

(wychodzi)

WORTMAN Also? Co masz na swoją obronę?

NADLER Wartownik przyznał w końcu...

WORTMAN Przestań! Dość długo robiłeś ze mnie głupca.

NADLER Karl!

WORTMAN Za długo! Kiedy pomyślę, że byłem dumny z twego udziału w walkach warszawskich. Wyobrażałem sobie, jak zamiast mnie karzesz ich za zuchwałość, za bunt. Ty? To paradne, że właśnie ty musiałeś zebrać o ocalenie życia! Dygotać ze strachu przed tą źle uzbrojoną bandą cywilów. Może nawet przed taką zuchwałą wiedźmą, jak tamta...

NADLER Karl!

WORTMAN Oficer SS, mój uczeń... Och! Jak ty musiałeś wczoraj ze mnie się śmiać! A ja pocieszałem cię, że wkrótce zapomnisz o swoim kalectwie... Powiedz: od dawna marzyłeś o tym, żeby się dostać tutaj, na tyły? Byłeś rad, że granat urwał ci palce? Nie milcz! Spójrz mi w oczy! Więc jeszcze gorzej? Twoja ręka... Żeby się dostać do tego ich szpitala... okaleczyłeś się sam?

NADLER Ja...

WORTMAN (po chwili milczenia) Więc to tak... Oczy pełne śmiertelnego strachu... Rozlatane usta... Więc tak musiałeś wyglądać, kiedy skamlałeś tam o litość? Kiedy wypierałeś się führera i nas, nas wszystkich? Kiedy nie umiałeś nawet milczeć.

NADLER Karl!

WORTMAN Więc mów! Broń się! Niczego innego nie pragnę. Nawet nie wiesz, ile każde słowo dla mnie znaczy...

NADLER Nie byłeś tam. Słuchaj! Widziałem więcej niż ty i tamci siedzący teraz bezpiecznie w berlińskich bunkrach...

WORTMAN Heinz!

NADLER Ja wiem, rozumiesz, wiem, co znaczy. bać się chodzić samemu po ulicach podbitego miasta: Pragi, Bratysławy, Krakowa, Warszawy... Być zwy-

ciężą, móc bezkarnie zabijać, a mimo to... bać się. Te ich twarze skamieniałe albo drwiące, te oczy pełne wzgardy. Napisy na murach... Jakieś podejrzanе ulotki w rękach naszych żołnierzy... Pociągi lecące z nasypów w dół, granaty rzucone do wnętrza naszych aut, kawiarni... Ziemia zdobyta! Nasza! Spróbuj chodźć po niej sam! Ona parzy, rozumiesz? To jest gorsze niż front. To piekło!

WORTMAN Przestań!

NADLER Nie! Twoje rady są przydatne tylko dla silnych w dniach ich zwycięstwa. W chwilach klęski nie zdają się na nic! Mówiłeś zawsze: naród pobity, człowiek pokonany nie mogą mieć racji. A więc? Jaką rację mogłem mieć w Warszawie ja, ich jeńiec? Pokonany i słaby a przecież nieświadomy, że to powstanie skończy się źle... dla nich. Myślałem wtedy o tobie. Nie jeden raz. Ale kiedy runęła wiara w naszą siłę, kiedy nie mogłem nimi nawet gardzić, wtedy...

WORTMAN Heinz!

NADLER Nie zostało mi nic, nic... Tylko chęć ocalenia siebie. Chęć życia za wszelką cenę! Ach! Gdyby trzeba było, odciąłbym sobie wtedy całą dłoń, nie tylko dwa palce!

WORTMAN Byli i tacy, którzy tam zginęli...

NADLER O, tak! Z rozpaczą w sercu! Z nienawiścią do was. Zginać? W imię czego? Tamci bronili ojczyzny przed zagładą. A my? Nasza ojczyzna jest wielka, najpiękniejsza na świecie. Tym lepiej. Będziemy pracowali dla niej sami, żywili ją sami. Stać nas na to! Ale do tego trzeba być... żywym. Wyparłem się was? Tak. I wróciwszy tu powinienem był odmówić dalszej walki. Dotrzymać obietnicy. Wyrzucić się was po raz drugi. Być przynajmniej wobec siebie — uczciwym. Ale... bałem się. Tym razem ciebie, Stolza. Chciałem być na wolności, oddychać tutejszym powietrzem, mówić, śmiać się... Życie! Ono jedno na tej ziemi jest coś warte! I ja jestem jeszcze dość silny, aby nie ustąpić mego miejsca — nikomu! Chcę żyć sam! Teraz i później, po wojnie...

WORTMAN Heinz!

NADLER Tak, ja! I będę żył. Rozumiesz? Jestem teraz gotów zniszczyć każdego, kto mi w tym zechce przeszkodzić.

WORTMAN Patrzę na ciebie. Słucham... Myślałem, że ciebie znam. A ty...

NADLER Nie jestem godny narodu olbrzymów, tak? Myślisz, że możesz mną gardzić, bo przegrałem. A ty? Wygrałeś? Gdzie? Może tutaj? Dowiodłeś sobie, mnie, że naprawdę ludźmi mogą być tylko ci, którzy się urodzili pod naszym niebem? Bałem się, kiedy przywieziono ich tutaj. Ale teraz będziesz się bał ich i ty, będziesz się liczył z ich sądem i ty, będziesz się ich wstydził, jak ja tego człowieka...

WORTMAN (chłodno) Kłamiesz!

NADLER Nie ja! Kłamałeś, że są ludzie stworzeni jako pył, po którym się depce. Są tylko słabi. Tym słabsi, im większy ich strach. Tym silniejsi, im większe to, w co wierzą. A w co wierzą teraz ja? Ty? Przegraliśmy obaj! I albo strzelimy sobie w łeb, jak bankruci, albo uznamy, że ta noc — to był koszmar. Że nic nie zaszło. Że nawet nie słyszałeś tego, co mówię, bo huczy wiatr. I będziemy dalej znów narzucać naszą rację innym. Rodzić i wyzwać zło, budzić zwierzę w każdym napotkanym człowieku. Będziemy zabijać... Zawsze razem: ja z tobą...

WORTMAN (nagle, bardzo brutalnie) Raus!

NADLER O? Ooo... (zaczyna się śmiać coraz głośniejsze, niemal histerycznie) Co za chwyt! Wspaniały! (nagle śmiech się urywa. Cicho, groźnie) Ale na to nie lic. Możesz się mną brzydzić, ale musisz, jak ja, brnąć coraz głębiej. I teraz ty nie masz wyjścia. Tych ludzi będziesz musiał wysłać do Auschwitz jeszcze dziś...

WORTMAN Nie!

NADLER Nie powini zostać tu, wśród nas. I nie może ich zabrać ten głupi Kreis. Nikt, nigdy nie dowie się... Nie powie o mnie...

WORTMAN Ja wiem.

NADLER Ty będziesz milczał. Jak oni tam, w Auschwitz.

WORTMAN A więc — nie! Nie zmusisz mnie do tego.

NADLER Och! nie zabijałeś nigdy?

WORTMAN Wierzyłem w rację stanu. Ale nie będę zabijał, żeby pozbyć się świadków tego, że właśnie ty nie miałeś racji.

NADLER Więc? Co z nimi zrobisz?

WORTMAN To, co ja znam za stosowne. *(dzwoni telefon)* Konwojenci transportu? Pamiętam. Niech przyjdą za kilka minut. Kazesz im tymczasem otworzyć któryś z wagonów. Muszą zrobić miejsce jeszcze dla sześciu ludzi. Trudno. Będą ich musieli wepchnąć siłą. Heil!

NADLER Chcesz ich odesłać? Z powrotem?

WORTMAN Nie pragniesz chyba, żeby zostali tu? Z tobą? Bo ty nie wracasz na front. Zostajesz, prawda?

NADLER *(dławiąc się gniewem, upokorzeniem)* Och! *(mierzą się wzrokiem. Nadler pierwszy odwraca się i wybiega przez drzwi z prawej. W tej chwili rozlega się ryk syreny oznajmiający apel poranny. Wortman podnosi słuchawkę telefonu)*

WORTMAN Stolz? Spróbujesz zaraz dostać dla mnie połączenie z Berlinem. Nie. W sprawie osobistej.

GŁOS PROFESORA Mój syn!

(Profesor i Ewa stają w drzwiach)

PROFESOR Nie ma go tam, na drodze. Zabrali, ponieśli... Dokąd? Niech pan odda mego syna!

WORTMAN Śledztwo wykazało, że Untersturmführer Nadler spełnił tylko swój obowiązek: strzelał do uciekającego.

EWA To kłamstwo.

PROFESOR Strzelał... Może tylko zranił? Trzeba zatamować krew. Opatrzeć... A jeżeli nie żyje, cóż wam po nim? Ja muszę zobaczyć go, dotknąć, muszę uwierzyć... To ostatnie z moich dzieci. Najdzielniejsze, najlepsze...

EWA Ojciec...

PROFESOR Tylko nie to! Z tych, co żyją, nikt nie ma prawa mówić tak do mnie! On jeden. Jeszcze on... Ale jego już nie ma, a ty...

EWA On by też milczał. Ojciec, to nie ja! Nie ja...

PROFESOR *(po chwili)* To prawda... Nie ty. Wiem, to oni go zabili. Dlaczego? Za co? Nie mogę zebrać myśli...

EWA *(do Wortmana)* Gdzie on jest? Musimy tam pójść.

WORTMAN Nie.

EWA Och, nic mnie nie powstrzyma. *(odwraca się)*

WORTMAN Wabe!

(wartownik staje w drzwiach)

EWA Muszę przejść. Niech pan każe mnie puścić.

WORTMAN To niemożliwe!

EWA A mógł pan — zabić?

WORTMAN *(opanowując gniew, do wartownika)* Przywołaj tamtych.

(Wabe ruchem ręki przywołuje Grabową, Gwarka, Mirę i Dorotkę. Wchodzi i staje przy drzwiach)

WORTMAN Radzę posłuchać uważnie. Tu w obozie zajądą zmiany. Ja... Najdalej jutro wyjeżdżam na front. I wy nie zostanieie tutaj. Mniejsza z tym, dlaczego. Za godzinę rusza na wschód przysyłany tu w nocy transport. Odjedziecie nim do Generalgouvernement.

GRABOWA *(po chwili)* My?

WORTMAN Tak.

SZEWC Wszyscy?

WORTMAN Tak. O ile oczywiście uda się wam uniknąć bomb, które nie oszczędzają i naszych pociągów.

GRABOWA Mnie tam od bomb nic się nie stanie. Człowiek musi wrócić. To i wróci.

WORTMAN *(ostro)* Wróci? Dokąd?

GRABOWA A dokąd by? Pan komendant nie wie? Do Warszawy.

WORTMAN *(patrząc kolejno na wszystkich)* Chcecie iść... tam? I ty? I ty?

To opętanie! Wszędzie, tylko nie na to pobojewisko. Na cmentarz się nie wraca. A to miasto umarło.

EWA Dopóki my jesteśmy żywi...

WORTMAN Nein! Warszawy nie ma i nigdy już nie będzie!

GRABOWA Mnie też kiedyś nie było, a teraz jestem.

WORTMAN Du! Hexe! Chcesz wrócić na pustynię, gdzie nie ma nic? Na gruzi?

GRABOWA A niech sobie będą gruzi. Byle pazurami wczepić się w rumowisko. Byle znaleźć kawałki cegły. I mieć wiślany piach...

WORTMAN (po pauzie, szorstko) Ten żołnierz zaprowadzi was na bocznice.

EWA Ale przedtem muszę...

WORTMAN (przerywając, wściekły) Nie musicie nic! Gdyby na moim miejscu był kto inny, należałby się wam tylko stryczek. (do wartownika) Odprawdzisz ich. Zaraz. I zostaniesz tam aż do odejścia pociągu.

WABE Zu Befehl, Herr Kommandant!

EWA Jeszcze tylko...

WORTMAN Mach schnell!

WABE (krzykliwie, groźnie) Raus! Schneller!

DOROTKA (tuląc się do Ewy) Ja się boję...

EWA Czego? Bać się nie wolno. Chodź.

(wychodzą. Wortman robi krok w ich stronę, ale drogę zagraadza mu biurko Nadlera. W pasji, gwałtownym, nagłym ruchem strąca na ziemię palącą się na biurku lampę. Barak tonie w ciemnościach. Za drutami, za sosną, coraz jaskrawiej złoci się niebo. Sylwetki odchodzących rysują się wyraźnie na jego tle...)

Kurtyna

Sierpień 1955—Grudzień 1955

W gruncie rzeczy u artysty dramatycznego tylko to jest prawdziwe, co widoczne.

ELEONORA DUSE